Nr. 3. Lwów. — Niedziela dnia 4. Stycznia. **Rok 1885.**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena Prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:		Na prowincji z przesyłką pocztową:	
Miesięcznie	1 złr. 50 ct	Miesięcznie	2 złr.
Kwartalnie	4 „ 50 „	Kwartalnie	6 „
Półrocznie	9 „ — „	Półrocznie	12 „
Rocznie	18 „ — „	Rocznie	24 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 centów.

Numer kosztuje 10 centów.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują:
WE LWOWIE: Administracja *Przeglądu* ul. Jagiellońska l. 3.
W KRAKOWIE: Filja Redakcji i Administracji *Przeglądu*, ul. Senacka L. 9., jakoteż Księgarnia Krzyżanowskiego w Rynku.
W WIEDNIU. *Prenumeratę*: Zeitungsbureau Goldschmiedt (I Wollzeile Nr. 6). — *Ogłoszenia*: G. L. Daube et Comp. Singerstrasse 11. — M. Dukes, Schulerstrasse 1—3. — Haasenstein et Vogler, Wallfischgasse 10. — Moritz Stern, Wollzeile 22. — Alois Herndl, Schulerstrasse 14. — Rudolf Mosse, Seilerstädte 2.
OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 10 centów od wiersza petitowego za pierwszy raz, a 5 centów za każdy raz następny.
NADESŁANE w cenie 30 centów od wiersza.
Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: D. p. N. R. Tytusa. Jutro: Św. Telesfora. | Wschód słońca g. 7 m. 58 Zachód „ g. 4 m. 13 | Długość dnia g. 8 m. 15 Przybyło „ o 1 minutę

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski

Adres Redakcji: — Gmach teatralny Nr. 7. I. piętro.
Adres Administracji: — Ulica Jagiellońska L. 3.

Zaproszenie do Przedpłaty.

W celu uregulowania nakładu upraszamy o wczesne nadsyłanie przedpłaty, najlepiej w przekazach pocztowych.

Przedpłata wynosi:

We Lwowie i w Krakowie:			*Na prowincji:*
Miesięcznie	**1** złr. **50** ct.	—	**2** złr.
Kwartalnie	**4** „ **50** „	—	**6** „
Półrocznie	**9** „ — „	—	**12** „
Rocznie	**18** „ — „	—	**24** „

Przedpłatę przyjmują:

We Lwowie: Administracja *Przeglądu* (ulica Jagiellońska l. 3). — W Krakowie: Filja Administracji *Przeglądu* (ulica Senacka l. 9).

W tece redakcyjnej mamy kilka powieści oryginalnych, które drukować poczniemy wnet po Nowym Roku. Nie uważamy bowiem za właściwe dawać oryginalnych powieści, o większej artystycznej wartości, do rozsyłanych obecnie okazowych numerów.

Przegląd posiada **własny drut telegraficzny,** przeto wyprzedza wszystkie lwowskie pisma w depeszach, a co tygodnia do niedzielnego numeru dołączać będzie **literacki dodatek,** złożony z małych nowelek i lekkich prac literackich.

Redakcja „Przeglądu"

poszukuje zdolnych tłómaczy z języków niemieckiego, włoskiego, francuskiego i angielskiego.

Przegląd polityczny.

Presse wspominając w dzisiejszym artykule wstępnym o refleksjach, nadziejach i obawach, omawianych w artykułach noworocznych wiedeńskiej prasy, następujący charakterystyczny podnosi szczegół:

„Dzienniki wszystkich odcieni politycznych uznają i podnoszą fakt, iż wewnętrzna nasza polityka uwalnia się zwolna od nieustannych i przeważnie ją dotąd pochłaniających waśni narodowościowych, a stawia natomiast kwestją socjalną, która wśród tysiącznych jeszcze wprawdzie zboczeń i błędów politycznych — pomału zajmuje przynależne jej, a między innemi sprawami miejsce wybitne. Jak każdy patrjota, tak i my — powiada *Stara Presse* — utyskujemy nad temi zboczeniami, które wszakże wskutek z każdym dniem rosnących zdobyczy doświadczenia i nauki, muszą coraz się zmniejszać. Już to uważać należy jako objaw bardzo pomyślny, że sprawy, mające związek z materjalnem stanem naszego społeczeństwa, wyparły ze wszech miar szkodliwe waśnie narodowościowe, owe waśnie, które tak długo i szkodliwie wpływały na bieg i kierunek naszej wewnętrznej polityki."

O przyjęciu noworocznem węgierskiego stronnictwa rządowego przez ministra prezydenta Tiszę, tak się wyraża *Fremdenblatt*: „Nie od dzisiaj istnieje w liberalnej partji węgierskiej zwyczaj składania noworocznych życzeń szefowi gabinetu i prezydentowi parlamentu. Ceremonii tej w roku obecnym przypisywano donioślejsze znaczenie, albowiem partja owa powzięła z powodu sprawy Sennyego zamiar zaznaczyć silnie stanowczość swego programu i zdementować w ten sposób domysł, jakoby solidaryzowała się z przekonaniami hr. Sennyeya. Już wybór hr. Csaky'ego na mowcę, uważano jako zapowiedź manifestacji; w istocie też mowa jego skierowana do ministra prezydenta Kolomana Tiszy, dała dobitny wyraz liberalnemu programowi. Hr. Csaky wyraził w niej nadzieję, iż rząd okaże się i na przyszłość liberalnym, zwłaszcza przy przeprowadzeniu reformy w Izbie wyższej, i stwierdził na koniec niezachwiane zaufanie partji do ministra prezydenta. Tak więc przeistoczyło się noworoczne przyjęcie w demonstrację liberalną, tem donioślejszą, że Tisza zapewnił w swej odpowiedzi, iż rząd zamyśla i nadal trzymać się kierunku liberalnego i stać na straży jedności pomiędzy wyznawcami liberalnego programu".

Dzienniki niemieckie omawiają obecnie kwestję objęcia rządów w państwie Congo, które król belgijski na monarchiczne zmienićby pragnął. Wedle *Nat. Zeitg.*, miał ten monarcha początkowo zamiar stanąć sam na czele pomienionego państwa, lub też przyjąć samodzielny jego zarząd z rąk małżonki swej, Marji Henryki. Ponieważ jednakże plan ten niewątpliwieby wywołał zatargi dyplomatyczne, przeto zarzucono go już w ciągu minionego lata. Też same okoliczności miałyby miejsce przy zmianie tronu, gdyby następca, hr. Flandrji, stanął na czele państwa Congo. Zamierzono przeto ogłosić panującym drugiego syna hr. Flandrji, księcia Alberta (ur. 8. kwietnia 1875), do którego pełnoletności sprawować ma rządy opiekuńcze ojciec jego. Siedzibą najwyższej władzy byłaby Bruksela, skąd rada składająca się z przedstawicieli wszystkich narodowości kierowałyby sprawami państwa. Oficjalne *Berl. Polit. Nachrichten* taką w tej sprawie czyni wzmiankę:

„Przy rozstrząsaniu politycznej przyszłości krajów Congo wskazywała prasa już kilkakrotnie ewentualność organizacji rządów młodego państwa w duchu monarchicznym. Nie da się zaprzeczyć, że instytucja Międzynarodowego Afrykańskiego Stowarzyszenia, którego oficjalne pisma noszą tylko podpis człowieka prywatnego, pułkownika Straucha, podczas gdy sztandar Stowarzyszenia uznanym jest za sztandar zaprzyjaźnionego państwa *(of a friendly state)*, nie zgadza się w zupełności z dzisiejszemi pojęciami prawa międzynarodowego. Zawarcie stosunków oficjalnych z stowarzyszeniem, którego siedlisko nie na miejscu lecz w Brukseli się znajduje, natrafiłoby na trudności natury formalnej i materjalnej. Rządy państwa powstałe i zorganizowane w duchu nowoczesnej cywilizacji, powinny mieć widomego reprezentanta na swojem czele, któryby zdolen był zawierać i pielęgnować regularne stosunki oficjalne z resztą państw ucywilizowanych. Te zapatrywania podziela cała prasa. Co się zaś tyczy najrozmaitszych wersji i kombinacji co do osoby ewentualnego naczelnika państw Congo, wyznać należy iż one żadnej nie mają podstawy i że o rozstrzygnięciu w tej mierze nic pewnego dotąd nie wiadomo."

Ledwo w angielskich dziennikach podniosły się głosy oburzenia na powolność z jaką jen. Wolseley posuwa się w głąb Sudanu i na Gordona, który w Chartumie znaku życia nie daje, aż oto konstantynopolitański dziennik *Mubaskrr*, wychodzący w arabskim języku, przynosi następujące szczegóły o marszu Anglików przez puszczę:

„Pochód Wolseleya potrwa prawdopodobnie dziesięć do trzynastu dni. Wynika to ztąd, że Anglicy nie maszerują w dzień swego sabatu (niedzieli) a prócz tego muszą co czwarty dzień pochód wstrzymywać, ażeby wypoczęli ludzie i — co ważniejsza — zwierzęta pociągowe. Jeden z tych dni wypoczynku spędzą u podnóża góry Mayaki, drugi pod wyżyną Gilif. Zanim z ostatniej miejscowości dalej wyruszą, uda się ze strony generała Wolseley poselstwo do El-Metemneeh. Poselstwo to ma uspokoić religijne skrupuły ludu, obudzić w nim chęci pojednawcze i tym sposobem zapewnić mu bezpieczeństwo. Gordon basza czekać będzie na korpus expedycyjny w miasteczku Derrerah koło szóstej katarakty Nilowej. Przestrzeń z Metemneeh do Derrerah można przebyć w dwóch dniach, z Derrerah zaś do Chartum w pięciu, jeżeli oczywiście nic nadzwyczajnego nie zajdzie."

W Kuldży, odstąpionej niedawno przez Rosją Chinom, wybuchło powstanie właśnie w chwili, gdy wojska Niebieskiego państwa zostały ściągnięte do Tonkinu. Fakt ten przypisują wpływom rosyjskim, co tembardziej zasługuje na wiarę, iż równocześnie z wybuchem powstania pojawiły się rosyjskie wojska na granicy dalekiej Kuldży, oddzielonej pustynią turkmeńską od turkiestańskiej prowincji, należącej do Rosji.

Równocześnie jednak, tuż za plecami tych wojsk stojących na progu Kuldży, zapanowały stosunki, które w inną stronę muszą zwrócić uwagę Rosji: wybuchło powstanie w kraju Tekińców, niedawno zdobytym przez nieboszczyka Skobelewa. Stłumić je byłoby łatwo, gdyby chan chiwiński nie otworzył granic swego państwa dla powstańców i nie pozwolił im organizować się na swem terytorjum.

W skutek tego zapanowały między Rosją a Chiwą bardzo naprężone stosunki, które prawdopodobnie smutnie się skończą dla małej a bogatej Chiwy.

Przed Bożem Narodzeniem powstał na dworze króla szwedzkiego projekt zamianowania następcy tronu, Gustawa, wice-królem norwezkim, aby w ten sposób wzmocnić luzujące się coraz bardziej węzły personalnej unji, łączącej Szwecją z Norwegją. Tak zwane chłopskie stronnictwo, będące teraz u steru spraw Norwegji, projekt ten przyjęło bardzo nieprzychylnie, a prezes ministrów Svedrup wyraźnie miał królowi Oskarowi oświadczyć, iż naród norwezki wcale sobie nie życzy tej innowacji, którą uważa za szkodliwą dla swej konstytucji. Zapewne w skutek tego wystąpienia Svedrupa, sztokholmski dwór zaniechał swego projektu, a szwedzki oficjalny organ donosi, iż go na razie nikt nie brał na serjo. „Pogłoska o mianowaniu księcia Gustawa wicekrólem Norwegji — pisze ten organ — zapewne stąd powstała, iż książe zaraz po Nowym Roku przenosi się ze swą małżonką na dość długi pobył do Christjanji (stolicy norwezkiej), gdzie też przyjmie swego ojca w końcu lutego".

W SPRAWIE ZBOŻOWEJ.

III.

Pan Motson, jeneralny konsul Stanów Zjednoczonych, urzędujący w Kalkucie, przesłał na początku przeszłego roku raport swemu rządowi o stanie indyjskiej zbożowej produkcji. Z raportu tego czerpiemy następujące szczegóły.

Do niedawna jeszcze w Indjach uprawiano przeważnie ryż i jęczmień. Ryż szedł na użytek ludzi, jęczmieniem, zamiast owsa, karmiono konie. Ziarno obu tych roślin znajdowało nader chętnych odbiorców w południowych Chinach, w Beludżistanie, którego bagniste grunta nie sprzyjały kulturze i po części w Afganistanie, gdzie nieustanne rozboje i orężne walki między różnymi pretendentami do chańskiego tronu, czyniły pracę koło roli w ogóle niebezpieczną, a często daremną. Cały jednak export był mały, bo pozbawieni spekulacyjnego zmysłu i leniwi z natury, Indusi zostawiali odłogiem te obszary ziemi, które wymagały mozolnej uprawy. W ostatnich jednak latach, gdy kolonizacja angielska się wzmogła i wkrótce stworzyła liczną klasę fermerów, wzięto się w Indjach do uprawy pszenicy tem chętniej, że znalazła ona stały do Europy odbyt, gdzie równocześnie spadło w cenie srebro, ten jedyny metal, mający u Indusów wartość pieniężną.

Do roku 1879 zasiewano tu pszenicą 13 milionów morgów, a z każdego morga zbierano $6^2/_{10}$ korca. Cały export szedł wtedy morzem do Persji i rzadko kiedy dochodził do Arabji. Odtąd jednak, przy bardzo gorliwej pomocy rządu, znacznie polepszono uprawę roli przez urządzenie należytej irrygacji, a w ślad zatem poszła większa urodzajność gruntów. Można przypuszczać, że wkrótce plon trzynasto, a nawet piętnasto-korcowy z morga nie będzie się uważał za nadzwyczajny. Gdyby uprawa pszenicy nie wymagała częstokroć w Indjach sztucznego zwilżania roli, a dostawa do portów była tańszą niż jest jeszcze dzisiaj, to fermerzy indyjscy dawnoby prześcignęli swych amerykańskich kolegów. Doniosłość jednak tych szkodliwyah dla tutejszej produkcji warunków, coraz się zmniejsza. Budowa całego systemu spławnych kanałów, służących równocześnie do irrygacji, a mających ogólnej długości przeszło 2 tysiące kilometrów, niedawno została skończona. Przy każdem podniesieniu szluz, mogą one od razu i zupełnie dostatecznie zwilżyć 467.280 morgów, które dotąd nie były uprawiane wcale z powodu swej suchości. Niemniej ważne roboty irrygacyjne projektują się do wykonania niebawem.

Warunki komunikacyjne także się znakomicie zmieniły na lepsze. Gęstą siecią drogi żelazne pokrywają już najbardziej żyźne okolice, a oddana w tym roku do użytku nowa linja, zwana koleją doliny Indusu (Indus Valley Railway) łączy perłę Indji, Pendjab (Pięciorzecze) z morskim portem Kurrachee przy ujściu Indusu. Dwa inne główne punkta, zkąd się odbywa export pszenicy, są: Bombay i Kalkutta.

Z tych trzech portów wywieziono pszenicy na Zachód:

w roku	1879/80	4,075.100 buszli
„ „	1880/81	10,896,013 „
„ „	1881/82	36,692.284 „

Lubo znaczna część tej pszenicy sprzedaną została w portach Perskiej zatoki, Czerwonego morza i Azji mniejszej, to jednak reszta jej przyszła na europejskie targi. W roku 1882 stanowiła już dziewiątą część ogólnej ilości pszenicy zakupionej na angielskich rynkach.

„Jest wszelka pewność — pisze p. Motson — że export indyjskiej pszenicy w r. bieżącym (1884) wyniesie najmniej 40 milionów buszli, a w dalszym ciągu rozwinie się jeszcze bardziej, zwłaszcza, jeśli w Europie nie podrożeje srebro."

Po doliczeniu kosztów produkcji do kosztów dostawy z któregokolwiek indyjskiego portu do Europy, a mianowicie do Anglji, pszenica indyjska może być sprzedana od 1 dollara 16 cnt. do 1 dollara 28 cnt. za buszel.

Zrobiwszy ten wyciąg z raportu p. Motsona, zobaczmy przedewszystkiem, jakie mają znaczenie dwie ostatnie cyfry.

Dollar i 16 cntów równa się 5 frankom 80 centymom, a dollar i 28 cntów stanowi 6 franków 40 centymów. Ponieważ zaś buszel stanowi nieco więcej, jak trzecią część korca, przeto korzec indyjskiej pszenicy może być sprzedany na londyńskim rynku za 17 fr. 40 cnt. do 19 fr. 20 cnt. Jeżeli się zważy, że do pojawienia się tej pszenicy na europejskich rynkach w Londynie, w kilku ostatnich latach, stale cena pszenicy wynosiła 22 franki i 7 centimów za korzec, to stąd można wziąć miarę konkurencyjnego znaczenia indyjskiej pszenicy dla naszej produkcji.

Na razie dla zmniejszenia potęgi tego rywala byłoby może dobrze, gdybyśmy wysyłali pszenicę do Anglji i Holandji nie w ziarnie, lecz w mące, bo faktem jest, że proces mełcia zboża kosztuje w tych krajach znacznie drożej, niż u nas. Moglibyśmy zatem sprzedawać na zachodnich rynkach naszą pszenicę taniej o całą różnicę kosztów mełcia. Na tym punkcie Indje i Ameryka długo jeszcze nie będą mogły rywalizować z nami, bo podczas długiej morskiej podróży mąka ich wciągałaby tyle wilgoci i takby się psuła od tropikalnego gorąca, że byłaby może wcale nie do użycia. Wprawdzie i my, aby jak najbardziej zmniejszyć koszta transportu, powinniśmy się starać o stworzenie dróg wodnych, ale te drogi byłyby znacznie krótsze od amerykańskich i indyjskich, bo gdy z Gdańska do Londynu parowe statki idą dni pięć, a nawet cztery przy sprzyjającym stanie morza, to z Ameryki muszą iść najmniej 15, a z Indji do 50. Ma się rozumieć, że zaradzy ten środek, który (gwoli reguły, że *bis dat, qui cito*

BRAT ANTONI.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy).

Pierwsze spotkanie z panią Przemską głębokie na Carnsteinie zrobiło wrażenie. Głębsze może dlatego, że miał w duszy i w oczach niedawno temu widziany ten kraj słoneczny, tak pełen lazuru i światła, który zachwyca, rozrzewnia i dziwnie usposabia do miłości. Po przyjeździe do K. wszystko mu się wydawało bezbarwnem i tęsknił za tą wybraną krainą piękna, aż tu nagle stanęła przed nim ta śliczna kobieta, tak promienna i olśniewająca, jak włoskie niebo!

Z początku mniemał, że wystarczy mu widzieć ją, patrzeć na nią, tak jak nieraz długiemi godzinami patrzył na morze, po za którem zachodziło słońce — ale niebawem uczuł potrzebę słyszenia jej głosu, spojrzenia tych cudownych oczu! I ten głos srebrzysty, dziecinny odzywał się dla niego, i te oczy spoglądały nań z pod długiej czarnej rzęsy. Świat cały dlań zniknął przed tem powłóczystem spojrzeniem!

Czy ją ukochał pierwszą miłością? spytacie. Nie wiem czy miłością zwać można te przelotne uczucia, te sny serca, które każdy młody odczuć musi. Tem pierwszem uczuciem nie kochał jej, to pewna, ale oddał jej tę miłość, po której serce staje się martwem, po której innej miłości odczuć już nie jest w stanie. Kochał ją nie mrzonką, ale całą potęgą uczucia!

Pani Przemska nie żyła z mężem; właściwych powodów tego rozłączenia nikt dokładnie nie wiedział. Mało znano w K. pana Przemskiego; mieszkał on w Królestwie, rzadko bywał w Galicyi, a jedyne osoby, któreby mogły bliżej wyjaśnić ten dziwny stosunek, uporczywie milczały. Temi osobami były sama p. Przemska i ciotka, u której mieszkała, kasztelanowa Łęcka.

Pani Przemska prawie nigdy nie mówiła o mężu, o którego zresztą mało kto ją pytał, kasztelanowa nie znosiła zapytań.

Była to dumna, surowej cnoty matrona. Osiedlona od niepamiętnych czasów w K., zdawało jej się, że poniekąd króluje w tem mieście. Gdy napływ obcych berła jej uznać nie chciał, odsunęła się od świata i widywano ją tylko raz lub dwa razy do roku, na loterji lub wencie na cele dobroczynne. Otulona w gronostaje lub sobole majestatycznie siedziała jako przewodnicząca lub patronesa i robiła wrażenie królowej na wygnaniu, która z poddaniem chrześcijańskiem znosi utratę korony!

Niektóre osoby dziwnie pojmują cnotę i jej obowiązki. Kasztelanowa lat temu parę nie oddała wizyty księżnej B. z powodu, iż ta z mężem się procesowała, a własnej siostrzenicy nie nakłaniała do zgodnego małżeńskiego pożycia. Kasztelanowa roznosiła własnoręcznie po przedmieściach mięso, buljon i odzienie, ale nie pamiętała o krewnych żyjących w nędzy; słuchała nabożnie kazań o pokorze, ale nie oddawała ukłonu żonie profesora. Zdaje się, że zapomniała lub nie wiedziała, że jeżeli w oczach ludzi *être ou paraître* często na jedno wychodzi, w oczach Tego, przed którym się korzyła, wielką to stanowi różnicę.

Sumienie jej widocznie miało tajemne porozumienie z niebem, które ją od wielu uwalniało obowiązków.

Tymczasem świetnie rozpoczynał się karnawał: bale następowały po balach, a na każdym królowała p. Przemska, otoczona licznym rojem wielbicieli. Do hufca tego nie przyłączał się Carnstein, trzymał się na uboczu, cierpliwie czekał i zawsze znalazł chwilkę, w której mógł ją mieć dla siebie. Cudów dokonać potrafi dobra wola, nie musiało na niej zbywać p. Przemskiej, bo zawsze znalazł się taniec wolny dla Ludwika, często miejsce przy niej, a przytem nie szczędziła mu tych upajających wejrzeń, które zdawało mu się, że tylko dla niego istniały, gdy w rzeczywistości wszystkich bez wyjątku zarówno niemi obdarzała.

II.

„W życiu każdego prawie mężczyzny dwie kobiety najważniejszą odgrywają rolę, kierują nim poniekąd; temi są, kobieta kochająca i kobieta kochana.

Kochającą kobietą w życiu Carnsteina była jego matka. Zanadto wspólnem było dotąd ich życie, zanadto serdeczny między niemi stosunek, by matka nie odgadła miłości u syna, by syn matce o niej nic wspomniał. Przestraszyła się trochę hrabina, tem więcej, że m. rzyła obecnie o małżeństwie dla Ludwika, ale w odpowiedzi pełnej taktu nie odgadłbyś obawy serca matki. Obojętnie prawie zwracała jego uwagę na dziwne położenie tak młodej kobiety, mężatki bez męża, z jakąś tajemniczą przeszłością. Po liście matki dopiero zastanowił się nad tym ważnym szczegółem, który dotychczas uszedł jego uwagi.

Ułożył sobie, że małżeństwo p. Przemskiej było nieszczęśliwe, że nie podobna jej było żyć z mężem, o więcej nie pytał. Dzisiaj dopiero nasunęło mu się na myśl pytanie, dla czego małżeństwo to jest niaszczęśliwem, jakie winy ciężyły na tym niewidzialnym mężu? Ani chwili nie wątpił, że winy, jeżeli jakie istniały, po jego były stronie.

Przygnębiony temi myślami przechadzał się po sali hotelu Paryzkiego, w której się dnia tego odbywał bal publiczny.

Bale publiczne w K. są z małymi wyjątkami po prostu balami *de la haute volée*, odbywającemi się w salach hotelu. Oprócz towarzystwa, które spotykasz we wszystkich salonach, zaledwo kilka zobaczysz obcych osób. Dawniej, i to bardzo nie dawno jeszcze, nie uczęszczano zupełnie na bale publiczne, a panny to już bezwarunkowo się tam nie pokazywały, bywało na nich miasto. Dzisiaj miasto bawi się dla siebie i u siebie, a wielki świat zapełnia sale publiczne.

Nie wiele było jeszcze osób, mężczyzni przechadzali się po sali, od czasu do czasu zaszeleściała powłóczysta suknia i zniknęła gdzieś w bocznych salonach, lub w framudze okna. Muzyka strojąca instrumenta przygłuszała rozmowy, i nie wesoło wyglądała ta garstka białych krawatek, tych kilka strojnych sukień, tak bardzo potrzebują one gwaru i tłumu!

— Carnstein, jak się masz? — uderzając go poufale po ramieniu, zawołał ktoś za Ludwikiem. Ten żywo się odwrócił i wyciągnął rękę do stojącego przed nim, niskiego wzrostu, garbatego mężczyzny.

— Rob! jak się masz? odkądże jesteś tutaj?

— Ja? — spokojnie odrzekł zagadnięty — od dwóch miesięcy.

— Jakto? nie widziałem cię dotąd.

— Bo byłem niewidzialny, miałem spleen. Dziś po raz pierwszy ukazuję się światu i pragnę aby należycie uczczono widok mojego garbu, z ironicznym uśmiechem odrzekł Rob.

— Ciesz się Ludwiku.

— Szczerze się cieszę, że cię spotykam mój drogi, szczerze i serdecznie — dodał, ściskając powtórnie rękę garbatego.

— Nie wiem dla czego, ale ci wierzę, może dla tego, że jestem znużony niedowiarstwem, okropnie znużony. Chcesz, przejdźmy do drugiego pokoju, mamy jeszcze coś pogadać nim się rozpoczną tańce.

Przeszli do saloniku i usiedli na kanapce.

— Zkądże właściwie tu przybyłeś? — Zapytał Carnstein.

— Zkąd? Znikąd. Wszak wiesz, że mieszkam wszędzie i nigdzie. Parafia moja Rzym, a ojczyzna tam gdzie mi dobrze...

— A na długo tu zawitałeś?

— Nie wiem. Może do jutra, może do końca roku. Jestem jak listek jesienny, którym wiatr samowolnie kieruje. A ty?

— Ja mam zamiar spędzić zimę tutaj. Ale, a propos, potrafisz mnie zapewne w jednym względzie oświecić. Kto jest pani Przemska?

— Mój drogi — odrzekł tak zwany Rob — pytanie twoje zbyt młode na twój wiek. Pani Przemska jest najpiękniejszą kobietą w Europie.

— O tem wiem — marszcząc nieco brwi, odpowiedział Carnstein.

— I to ci nie wystarcza? Gdybym miał — ciągnął dalej spokojnym i sarkastycznym tonem, zamiast garbu twoją smukłą postać, nie pytałbym o więcej. Ale dyssekomanja jest chorobą naszego wieku!

— Odpowiedz mi z łaski swojej, kim jest pani Przemska i dla czego nie żyje z mężem?

— Dawna to a zawsze robiąca smutne wrażenie historja! Niedobrane małżeństwo!

— *C'est a degouter du mariage* — przerwał mu Carnstein.

— *Ou de la femme* — z półuśmiechem dodał Rob. — Czy pragniesz bym ci życiorys europejskiej piękności podał w streszczeniu, czy w formie nowelli? Mam niezaprzeczoną zdolność do układania tych krótkich powiastek.

— Proszę cię mów jak chcesz, ale mów serjo.

— Nie można żądać od wróbla, by śpiewał jak słowik — odparł Rob. — Ale będę mówił wyraźnie i krótko, tem więcej, że się sala zapełnia, a ty należysz do ludzi skaczących. Pani Przemska, jest córką hr. Pysznickiej, siostry kasztelanowej Łęckiej. Po śmierci męża, która jak mówią nastąpiła z nadmiaru szczęścia, czemu wierzę, bo nie ma nic mniej higienicznego, jak zbytek szczęścia, młoda wdowa wesołe prowadziła życie. A że wesołość potrzebuje dźwięku, dźwięczały starannie przez ś. p. Pysznickiego zbierane sumki.

Niestety, prędko przedźwięczały i wdówka znalazła się niebawem przy końcu uczty. Pozostawała jej maleńka wioska, gdzieś na granicy. *Pas meme un dessert!* Do tego uleciała młodość i uroda. Zmuszona była osiąść na folwarku — i spostrzegła się wówczas — była nieco o tem zapomniała — że oprócz folwarku miała jeszcze córki.

(C. d. n.)

Alces.

dat), przedstawiamy światłej rozwadze naszych obywateli, ma wszystkie cechy środka chwilowego. Może on cokolwiek wesprzeć nas w rywalizacji z indyjską pszenicą, bo ta rywalizacja nie jest jeszcze tak ciężką, jak się wydać może, najpierw dla tego, że 40 miljonów buszli to tylko 15 miljonów korcy, a przecież Europa potrzebuje ich mniej więcej 50 miljonów; a następnie dla tego, że z chwilą, jak w Niemczech, w interesie rolnictwa, przywrócona zostanie waluta srebrna, i jak się to samo stanie w Rosji, to metal ten wnet podrożeje i producenci indyjscy nie będą już mogli korzystać z różnicy kursu. Ale ten środek nie może działać stale już choćby dla tego, że w ślad za indyjską pszenicą, za jakie lat 50, pocznie zasypywać rynki europejskie pszenica afrykańska.

Podaliśmy wyżej, co rząd angielski robi w Indjach dla ulepszenia środków komunikacyjnych. Nie zawadzi tu jeszcze przytoczyć jednego ustępu ze sprawozdania Statystycznego Komitetu ministejum Stanów Zjednoczonych. W sprawozdaniu tem za rok 1883 znajdujemy, że w roku 1870 za przewóz buszla z Chicago do N. Yorku płacono 28 centów, a w roku 1883 już tylko 12 centów. W pierwszym z tych lat koszta transportu z S. Francisco do Anglji wynosiły za tonnę (około tysiąca kilo) 60 szylingów, a w drugim — 27½ szylingów.

Tu mimowoli myślą się przenosimy do naszych komunikacyjnych warunków i, niestety, widzimy, że są one jak najgorsze. Wprawdzie Sejm i Wydział krajowy robią wszystko, co tylko możliwem jest w tym kierunku i istotnie środki komunikacyjne wewnątrz kraju znakomicie się polepszyły. Ale cóż to znaczy w obec tego, że nie mamy zgoła żadnej taniej drogi do wywozu z kraju naszych produktów.

Pierwszem tedy naszem usiłowaniem, najważniejszą na dziś kwestją, którą śmiało możemy zatytułować wyrazami **być albo nie być**, — jest sprawa tanich dróg eksportowych, więc regulacja, uspławnienie i połączenie kanałami naszych rzek, — więc radykalna zmiana taryf kolejowych. Następnie powinniśmy wydobyć z zapomnienia znakomity wniosek pana Grocholskiego o niepodzielności gruntów włościańskich, bo w ten tylko sposób zdołamy wytworzyć robotników wiejskich, zupełnie zależnych od zarobku na cudzym gruncie, więc pilniejszych niż są teraz, gdy dwuzagonowe dziedzictwo przy nieskończenie małych potrzebach, wystarcza im zupełnie na życie, gnuśniejące w obrzydłem lenistwie. W ogóle, powinniśmy dążyć do wprowadzenia w życie całego szeregu takich ustaw, któreby zniosły ten dziwny stan, że mając tyle ludzi, iż nawet możliwą jest ich emigracja do Ameryki, nie mamy przecież dobrych robotników nietylko do pracy na roli, ale zgoła do każdej innej roboty.

Czy jakie zmiany wypadnie wprowadzić w systemie gospodarczem? — o tem nie nam sądzić. Głosy obywateli ziemskich i Towarzystw rolniczych będą tu jedynie kompetentne.

One prawdopodobnie rychło się odezwą.

A tymczasem dzienniki powinny otworzyć swe łamy dla wymiany zdań w tej niezmiernie ważnej sprawie.

My zaś, ze swojej strony, gorąco upraszamy pp. obywateli, aby łaskawie zechcieli skorzystać z rubryki, którą do ich dyspozycji oddajemy w naszem piśmie. Tak może zbierzemy cokolwiek materjału do przyszłych prac Towarzystw rolniczych.

KORESPONDENCJE.

Kraków 2. stycznia.

(§) Pogrzeb ś. p. prof. Gustawa Junoszy Piotrowskiego, jaki odbył się dzisiaj po południu, stanowił piękny dowód, jak miasto nasze czcić umie ludzi nauki i zasług tej miary, jak ś. p. Piotrowski. Tłumy publiczności, jakie zebrały się przed mieszkaniem zmarłego, aby mu oddać ostatnią posługę, przenosiły 2,000 osób, przeważnie inteligencji. W mieszkaniu przemówił nad zwłokami Prezes Akademii dr. Majer, żegnając rzewnemi słowy tyloletniego kolegę i zasłużonego współpracownika. Kondukt prowadził b. Rektor Uniwersytetu, ks. prof. Pelczar. Na czele pochodu postępowała młodzież akademicka, niosąc wieńce, złożone od korporacyj akademickich, od Akademji Umiejętności i innych instytucyj. Pomimo mroźnego powietrza, niesiono trumnę na barkach aż na miejsce wiecznego spoczynku, co najlepszym jest dowodem, jak dalece kochanym był przez kolegów i uczniów ś. p. Piotrowski i jak stratę jego odczuto.

Nad grobem zmarłego przemówił Rektor Uniwersytetu, prof. dr. Lucjan Rydel, roztaczając przed słuchaczami piękny obraz życia i działalności ś. p. Piotrowskiego. Podawszy już wczoraj w krótkości główne daty, odnoszące się do życia i pracy zawodowej oraz publicznej ś. p. zmarłego, przytaczamy dzisiaj z pięknej przemowy p. Rektora Rydla następujące jeszcze szczegóły: S. p. Piotrowski kończył szkoły gimnazjalne w miejscu swego urodzenia, t. j. w Tarnowie, na Uniwersytet zaś uczęszczał w Wiedniu i tam, poświęciwszy się nauce fizjologii, zwrócił był zdolnościami swemi i pracami w tej dziedzinie uwagę ludzi uczonych; z tamtąd też ówczesny profesor fizjologii na Uniwersytecie krakowskim dr. Czermak zaprosił był ś. p. Piotrowskiego na asystenta swojej katedry w Krakowie w r. 1856. Owocem wspólnej ich pracy była publikacja z dziedziny fizjologii „o ruchach serca.“ S. p. Piotrowski był następnie przez dwa lata za granicą, mianowicie w Getyndze i w Heidelbergu dla dalszego kształcenia się, zkąd powróciwszy jako uznana już przez świat uczony powaga do Krakowa w r. 1859, mianowany został najprzód nadzwyczajnym a następnie zwyczajnym profesorem fizjologii.

Odtąd zaczyna się też wyłącznie dla Uniwersytetu naszego i dla kraju podjęta działalność śp. Piotrowskiego. Będąc od początku przybycia swego do Krakowa czynnym na polu naukowem nie tylko w sali wykładów, oddał nie małe usługi ówczesnemu Towarzystwu naukowemu w Krakowie, powołany też został na czynnego członka utworzonej Akademii Umiejętności. W r. 1865 ogłosił śp. Piotrowski wykłady swoje akademickie drukiem pt. „Fizjologja ludzka w zarysie“. T. I. Prócz tego ogłosił kilkanaście publikacyj mniejszych a śmierć przedwczesna i poprzedzająca ją dłuższa choroba, nie pozwoliły mu dokończyć i wydać innych prac przygotowanych.

Z życia publicznego zmarłego przypomniał nadto mowca, że śp. Piotrowski był przez długie lata delegatem Towarzystwa rolniczego krakowskiego w Kuratorji szkoły rolniczej Czernichowskiej, gdzie szczególniej na polu dydaktycznem oddał tej szkole wielkie usługi. Jako urodzony Tarnowianin zaszczycony został śp. Piotrowski mandatem poselskim z wielkiej własności tamtejszego okręgu wyborczego, a prace jego w komisjach odznaczały się zawsze wielką gruntownością i znajomością w sprawach sanitarnych i edukacyjnych.

Śmierć, jaka przedwcześnie przecięła życie śp. Piotrowskiego, pełne jeszcze siły, stanowi więc bolesną stratę dla Uniwersytetu, dla kraju i rodziny. Boleści tej dał też mowca serdeczny i rzewny wyraz a wyraził ją także imieniem uczniów Uniwersytetu rygorozant medycyny p. Jendl.

Wiedeń 2. stycznia.

Ulice Wiednia były w nocy św. Sylwestra widownią niejednego tragicznego wypadku. Dzienniki dzisiejsze przynoszą w spisie tych wypadków także jeden dość z bliska nas obchodzący. Jest nim usiłowane samobójstwo ucznia gimnazjum z Galicji Zygmunta Schramma, który przybył tu przed 6 tygodniami z Tarnowa „w celu szukania lekcji“ i kontynuowania studjów. Punkt o 12. w nocy — jak opisują dzienniki — spostrzegli przechodnie na ławce parku giełdowego przy Börsenplatz jakiegoś młodego człowieka, leżącego w niezwykłej pozycji, widocznie odrętwiałego. Obok niego leżał na ławce list bez koperty i flaszeczka z jakimś płynem. Trupia bladość młodego człowieka świadczyła aż nadto wymownie, że zażył on przed chwilą trucizny. Przyniesiony do pobliskiego gmachu policji na Schottenringu, został tam wkrótce do przytomności przywrócony. Lekarz policyjny zadał mu antidotum i życie jego uratował. Obecnie znajduje się w szpitalu powszechnym, gdzie jakiś czas z odniesionych w skutek zażytego cyankalu wewnętrznych poparzeń, leczyć się będzie musiał. Przyczyną usiłowanego samobójstwa była zwykła tu — bieda studencka. Wychodząc tego dnia z domu prosił swą gospodynię o pożyczenie 10 centów. Otrzymał jednak od niej prawdopodobnie ze względu na św. Sylwestra aż centów 40. Suma ta nie rozpędziła jednakowoż jego smutnych myśli i postanowił Nowego roku — nie czekać. W liście znalezionym na ławce oświadcza, że jest nieszczęśliwszym od głośnego studenta Mimry, którym w przeszłym miesiącu zajmował się cały Wiedeń. Ojciec jego ubogi krawiec w Tarnowie, nie mógł mu już w gimnazjum tarnowskim dostatecznego dać utrzymania. Zygmunt postanowił przeto szukać szczęścia we Wiedniu. Szczęście niedopisało, żadnego zatrudnienia nie znalazł, więc żegna się z tym światem.

Oby wypadek ten stał się przestrogą dla mnóstwa młodzieży polskiej, która mianowicie z Krakowa i zachodniej Galicji spieszy w ostatnich latach coraz liczniej na studja do Wiednia, łudząc się nadzieją znalezienia tutaj zarobku. Mianowicie wielu jest takich, którzy mając maleńką pomoc z domu np. miesięcznie jakich ze 30 złr., sądzą, że albo znajdą tu lekcje albo że przy oszczędnem życiu wystarczy im wspomniana kwota na utrzymanie. Znamy cały zastęp takiej młodzieży, której ojcowie mierząc stosunki wiedeńskie miarą prowincjonalną, wysłali ją z tak małą pomocą do Wiednia.

Jaki z tego rezultat? albo syn zamiast chodzić na uniwersytet lub technikę pracuje od 8 do 12 w południe i od 2 do 6 wieczór w jakiejś kancelarji adwokackiej za 15 złr. miesięcznie a zmarnowawszy w ten sposób pierwsze lata swych studjów i niezrobiwszy egzaminów rzuca się do jakiegokolwiek praktycznego zawodu, gdzie niewykształcony ani handlowo ani technicznie musi mimo swej może większej ogólnej wiedzy zajmować przez całe swoje życie tylko podrzędne stanowisko, albo marnuje się w całem tego słowa znaczeniu. Kronika młodzieży polskiej w Wiedniu zapisała już niejeden taki wypadek w którym słuchacz uniwersytetu wszedł wskutek biedy w kolizję z prawem karnem. Obecnie np. znajduje się jeden były funkcjonarjusz polskiego stowarzyszenia akademickiego, za kratkami wiedeńskiego sądu karnego w śledztwie o sprzeniewierzenie drobnej sumy pieniężnej. Uderzającem jest nadto ta okoliczność, że zamknięty tam został na skutek skargi i na wyraźne żądanie swego poszkodowanego kolegi — również studenta i Polaka. Nie wspominalibyśmy o tak smutnych rzeczach, gdyby nie obawa, że biedna lub tylko średnio zamożna młodzież nasza, która mogłaby na uniwersytetach krajowych z pożytkiem dla siebie i narodu kończyć nawet przy szczupłych funduszach studja, będzie i w przyszłości spieszyła tak gromadnie do Wiednia. Być może, że Zygm. Schramm jest izraelitą, czego nie wiemy, w takim razie zarobek dla niego byłby we Wiedniu o wiele łatwiejszym. Znajomość języka niemieckiego i liczni współwyznawcy jego tu osiedli, byliby do zarobku pomogli. Być nadto może, że Schramm, jak to pewna tutejsza z policyjnych źródeł czerpiąca litografowana korespondencja zapewnia, swoją biedę znacznie przesadził; być może, że jest to człowiek egzaltowany i zrozpaczony przedwcześnie — mimo to pozostaje faktem, że nie miał grosza przy duszy, skoro o pożyczkę 10 centów musiał prosić. My zaś niemogliśmy pominąć tej okoliczności, ażeby nie napisać tych kilka dawno już na myśl cisnących się nam uwag dla dobra i przestrogi naszej młodzieży.

Berlin 31. grudnia.

Z końcem roku każdy chrześcijanin robi rachunek sumienia, kupiec zamyka bilanse, w dziedzinie zaś politycznej narzuca się pytanie, jak stoją sprawy kraju w chwili gdy stary rok ustępuje miejsca nowemu? Teraśniejsze położenie i związek wypadków pozwalają wnioskować i utworzyć sobie pewien obraz przyszłości, ułatwiają odpowiedź, na pytanie: co nam przyniesie rok nowy? Odpowiedzmy na nie otwarcie. Wewnętrzne położenie Niemiec pod **żadnym** względem nie może napawać obserwatora takiem zadowoleniem, jakie sprawia stanowisko ich względem mocarstw obcych. Położenie pogorszyło się przedewszystkiem w kwestji najważniejszej przed wszystkiemi innemi ziemskiemi sprawami, a zatem katolickiemu ludowi najbardziej na sercu leżącej, w kwestji religijnej w stosunkach kościelno-politycznych. Na tem polu zapanowała zupełna stagnacja, zabagnienie. Rok miniony nie przyniósł nam najmniejszej ustawodawczej ulgi, z dyskrecjonalnego prawa nie zrobił nikt najmniejszego wspaniałomyślnego użytku, stanowisko zaś rządu we wszystkich sprawach kościelno-politycznych nie zmieniło się ani na jotę od owego, jakie zajmował za czasów Falka. Słowa księcia Bismarka: „nie postąpimy ani na krok, dopóki Rzym tego nie uczyni“, przytłumiły wszelką nadzieję w sercach katolickich i wywołały na nowe echa kultur-kampfu. Biskupi nasi pozostają ciągle *in vinculis*, seminarja duchowne zamknięte, parafie osierocone, cały zastęp młodego duchowieństwa pozbawiony prawa spełniania funkcyj religijnych, nad innymi ciężą kary, mnóstwo gmin nie ma swych pasterzy, w obu djecezjach, kolońskiej i poznańskiej, których arcypasterze dotychczas na wygnaniu, ustanowione przez rząd posady są gorszące, zakony w większej części rozpędzone, w części zaś, jak siostry miłosierdzia poddane pod upokarzający dozór policyjny, a oprócz tego wisi nad naszemi głowami jak wyostrzony miecz Damoklesa prawo majowe.

Cóż w obec tego znaczą mikroskopijne ulgi, jeżeli każdej chwili dawny surowy system powrócić może i powróci, skoro tylko rząd albo jeden człowiek tj. książę Bismark uzna za odpowiedne go wznowić?

Oto macie obraz stosunków kościelnych w Prusach a po części i w Niemczech. Nie jest on bynajmniej weselszym w stosunkach socjalnych. Fala socjalistyczna rośnie od dawna i bez przerwy, jej wzrost w przyszłości da się z tą samą pewnością obliczyć, jak ją obliczono przed wyborami do parlamentu. A trudno utrzymywać, że Niemcy mają obrachunek z samymi wyłącznie socjal-demokratami i że po za nimi nie stoją anarchiści, ludzie czynu, bohaterowie dynamitu. Jeżeli osłoną przed pierwszymi ma być ustawa o socjalistach, to gdzież jest tarcza, która nas od drugich zabezpieczy? Czy może w bagnetach? A przecież Kozacy nie zdołali uchronić cesarza rosyjskiego od nihilistycznej bomby. Zresztą pamiętajmy i o tem, że pod naciskiem socjalistycznej propagandy zaczynają już i stróże bezpieczeństwa tracić zaufanie w swe własne siły. Szalona walka wypowiedziana religji i Kościołowi dodała tylko mocy socjalistom. Więc czyż okoliczność ta nie jest najlepszą wskazówką, gdzie jest źródło zawichrzeń społecznych i gdzie szukać na nie lekarstwa? Bardzo też słusznie podnosi dzisiejsza *Kreutz. Ztg.*, że jedynem lekarstwem na tę socjalną chorobę może być nieograniczony wpływ nauki chrześcijańskiej na lud i ustanowienie religji jako głównego przedmiotu w szkołach niższych.

Tak pisze *Kreutz. Ztg.* a jednak partja konserwatywna, której ten dziennik jest organem, postępuje ręka w rękę z zastępami bezwyznaniowemi, prowadzonemi przez Bismarka i odrzuca zawsze wszelkie wnioski stronnictwa centrum, żądające wyzwolenia Kościoła.

Nie frazesami, ale stanowczem głosowaniem można skrępowany Kościół uwolnić i uczynić go zdolnym do zwalczenia moralnej zasady, która dlatego właśnie, że jest moralną, nie da się uleczyć żadnemi policyjnemi sposobami.

Tak stoją rzeczy na polu socjalnem. Jeżeli przejdziemy na inne, to w którąkolwiekbądź stronę zwrócimy oczy, wszędzie dostrzeżemy same tylko smutne obrazy. W budżecie państwowym wyszczerza olbrzymią paszczę deficyt, tak samo w całem cesarstwie, jak i w każdem państwie wchodzącem w skład Rzeszy. Rolnictwo upada skutkiem zamorskiej konkurencji, drobny przemysł nie może dotrzymać placu przemysłowi fabrycznemu, reforma socjalna ogranicza się do bardzo nieznacznych zmian, a po nad tem wszystkiem wzmaga się nieproporcjonalny do ogólnej biedy podatek. Dlatego też, aby zasłonić smutny obraz stosunków wewnętrznych, zwracają niemieccy mężowie stanu uwagę ogółu na zewnątrz, na imponujące stanowisko Niemiec wobec państw zagranicznych, na ich politykę kolonjalną, której wartość dotychczas nie jest jeszcze oszacowaną. Może nas to wszystko cieszyć, ale nie zdoła nas oślepić, a co więcej, żadna świetna pozycja na zewnątrz nie ukoi bolu doznanego w domu. Tyle tylko z niej pożytku, że ta napięta uwaga po za granice kraju może znieczulić na rany wewnętrzne, bodaj czy nie śmiertelne. Bo przecież wewnętrzna siła może być podstawą i warunkiem do akcji zewnętrznej. Od wewnątrz więc trzeba zacząć naprawę, jeżeli perspektywa na rok nowy ma nam bardziej w różowej przedstawić się barwie.

GŁOSY PRASY.

Dziennik Polski przynosi nam sprawozdanie z sejmiku relacyjnego w Tarnowie. Przemawiali na nim, jak już donosiliśmy, hr. Koziebrodzki, p. Langie i ks. Sanguszko. Otóż w mowie tego ostatniego posła znajdujemy ustęp, który jako uzasadnione istnienie pewnego kółka sejmowego, jako jego sejmową rację bytu uważać można. Oto ten ustęp:

„Trzeci sprawozdawca ks. Sanguszko rozpoczął swą mowę pytaniem, jakie stanowisko zajmuje w Sejmie. Powiedziawszy, iż gdy z powodu choroby dopiero po dwóch tygodniach wszedł do Sejmu, zastał w nim dwa potężne stronnictwa, których charakteryzować nie chciał, poprzestając na twierdzeniu oklaskami przyjętem: *Jedno stronnictwo popiera rząd, drugie zaś nie atakuje go.* Dalej wykazał konieczność klubów, bez których nie byłoby organizacji sejmowej i z braku których dawniej kilka doniosłych wniosków upadło, bo nie było porozumienia.

„A ponieważ nie jest w interesie Sejmu, aby on był cały na kluby podzielony, ponieważ kluby jako rzecz ludzka mają swe słabe strony, swe poglądy, zapatrywania, którym i najznakomitsi ulegają, zapa rując się na sprawy krajowe nie ze stanowiska klubowego, dlatego nie przystąpiłem do żadnego klubu, ale pozostałem w środku. Bo to pewna, że jako dwa koła nierówne, skoro w kierunek wręcz przeciwnym biegną, albo biegną wprawdzie w tym samym kierunku, ale nie z jednakową szybkością, potrzebują regulatora, tak samo i te dwa potężne kluby potrzebują regulatora, którym są ci posłowie, którzy poza klubami stojąc, obserwują sprawy spokojnie, bo nie z klubowego, ale z ogólnego stanowiska. Ponieważ zaś i bezemnie kluby istniały, stałem tedy od nich na uboczu; szedłem w pierwszym roku samopas, w drugim zaś schodziłem się z kilkunastą posłami, ale tylko w celu informacji i wymiany zdań. Chociaż to dziwna, iż — mimo to, że nie ma między nami solidarności, owszem pozostaje wolność mówienia i głosowania — przecież wotowaliśmy zawsze razem, i w ten sposób nieraz przeważaliśmy głosami naszemi sprawę na stronę jednego lub drugiego klubu. Charakterystyczną stroną naszą jest: popierać rząd, ale z nim się nie solidaryzować, ani też być od niego zależnym.“

Gazeta Narodowa łamie sobie dalej głowę nad rozwiązaniem pytania, kogo Bismark zamierza teraz wyprowadzić w pole.

Nowa Reforma wydobywa z zapomnienia statut organizacyjny kolei państwowych i przy noworocznej dacie streszcza wszystkie swoje poprzednie a wysoce powierzchowne krytyki tego statutu.

Czas wraca do Sierniewickiego zjazdu, jako najwybitniejszego faktu dyplomatycznego z ubiegłego roku, a wykazawszy jego bezpłodność, notuje, że system eksterminacyjny ani trochę nie osłabł po pobycie cesarza rosyjskiego w Królestwie Polskiem. A przecież pobyt ten był chwilą niewątpliwie znaczącą, bo się ważyły przeciwne wpływy.

„Aleksander III. przybywał do kraju — pisze *Czas* — którego przeszłość i natura mu całkowicie nieznaną, szukał tu odpoczynku i spokoju, którego w swej stolicy nie doznaje. Zdawał się być zadowolonym — a wszystkie warstwy społeczeństwa, objawiły raczej współczucie, niż gorycz. Rozumiały to niektóre osoby z otoczenia cara, że tu nie ma pierwiastków negacji, że owszem są warunki, które prawdziwy mąż stanu winienby zużytkować dla normalnego porządku państwowego, pod warunkiem uszanowania narodowości i religji. Sam Cesarz kilkakrotnie dał dowód pewnej względności, gdy słowa swoje kazał tłomaczyć na język krajowy. Ale czuwały inne wpływy, aby zatrzeć wrażenie tej pierwszej podróży. A gdy dekoracja polska wysunięta w Skierniewicach może ze względów dyplomatycznych już była niepotrzebną — zatarł się wszelki ślad zbliżenia. Kochanow z tymczasowego został rzeczywistym gubernatorem w Wilnie z znanym programem zgnębienia polskości autor projektów spieszniejszego wywłaszczenia Polaków Drenteln powrócił do Kijowa — w Warszawie pozostała zagadkowa postać jen. Hurki i został Apuchtin.“

Nadto zaczęły się dziać rzeczy, zwłaszcza z zakresu prześladowania religijnego, które świadczą, że Rosja utrwala system eksterminacyjny. Każdy dzień przynosi nowe w tej mierze fakta, jeżeli jednak *Czas* ich nie notuje, to dlatego naprzód, że jest świadom, iż wszystko, co dotyczy prześladowania katolików i Polaków, nie czyni już w Europie żadnego wrażenia, a następnie dla tego, że chce się uchronić od wszelkiego cienia prowokacji lub przesady. A podnosząc te wieści, jakie z dobrego źródła otrzymał niedawno z Petersburga, pisze *Czas* tak dalej:

„Obrachunek społeczności polskiej w tych warunkach byłby przerażający, gdybyśmy tylko materjalne obliczyli siły. Dość rzucić okiem na kartę, aby się przekonać o nieproporcjoyalnym terytorjalnym stosunku tego ogromu, który całym swoim naciskiem dąży do zgnębiania, a tym odłamem Polski, rzuconym pod nogi tego pochodu. Nie idea stanu, nie myśl państwowa jak za Mikołaja pcha do prześladowania — ale to prąd z dołu, demokratyczno-narodowy, puszczony samopas rozlewa się na kraje polskie, aby w nich wytępić pierwiastki zachodu, a więc wszystko co z wiary, cywilizacji, historji i porządku społecznego w Polsce różni się od wielkiej przed i za uralskiej Komuny. Żadna nim nie kieruje z góry ręka lub głowa — on rozlewa się instynktem hordy, aby po zgliszczach społeczności polskiej otworzyć sobie odpływ na zachód. Prąd to bliźni nihilizmu, z tych samych wydobywający się przepaści, ale sięgający do najwyższych urzędowych stanowisk i sfer.

W obec tej nawalności, ustawicznie rosnącej i co raz dzikszej, — dziwią i rażą te głosy, które odzywają się w piśmie polskiem z przynętą idei wszechsłowiańskiej. Nie wykluczamy nigdy myśli kompromisu politycznego, bo wiemy, że społeczność polska pod rządem rosyjskim, wśród ucisku i biernego cierpienia, doszła do tej samej dojrzałości, co wśród wolności i działania w Austrji. Ale tam, gdzie nikt z żadnemi nie odzywa się warunkami *modus vivendi*, w obec jedynego programu zniszczenia i śmierci, snuć jeszcze nieokreślone rojenia wszechsłowiańskie, mogą tylko ci, co już nie czują, na czem zawisł indywidualizm narodowy.“

Słowa te ostatnie robić mają wrażenie, jak gdyby do nas były stosowane, a to dla tego, że tylko my w ostatnich czasach mówiliśmy o stosunku Polski do Rosji. Ale nie mogą robić tego wrażenia, bośmy wcale tego nie mówili, co *Czas* w ostatnim ustępie pisze. Niemcy powiadają, że nigdy się nie je tak gorąco, jak się gotuje; tu się stało odwrotnie: w wyższej temperaturze zjadano publicystyczną strawę, niż ją gotowano. I w skutek tego nie tyle patrzano na myśl zasadniczą, ile na szatę. Myśmy ani o włos więcej nie powiedzieli, jak to, co *Czas* mówi, mianowicie, że „nigdy nie wykluczamy myśli kompromisu politycznego,“ a przeto nie uważamy za właściwe rzucać kamieni na drogę, która do zrealizowania tej myśli doprowadzić może. Zapisać jeszcze musimy ostatni ustęp z artykułu *Czasu.*

„Natomiast łączymy się chętnie z temi przestrogami i radami, które zalecają dziennikarstwu polskiemu ostrożność i umiarkowanie, a ostrzegają przed zgubnym szowinizmem. Zbyt wiele złego zrobiła już ta pochopność niektórych pism polskich w wyjawianiu przedwczesnem faktów, niedokładnie sprawdzonych. Dziennik nasz z większą o wiele skwapliwością gotów zapisywać każdą zmianę na lepsze, niż donosić o nowych uciskach.“

MAŁY FEJLETON.

LUSTRO.

Humoreska japońska.

Przed wielu a wielu laty, w owe jeszcze czasy, kiedy żaden mieszkaniec pięknej Japonji nie zgodziłby się za nic w świecie oblec żółtego swego ciała w niesmaczny strój barbarzyńskich ludów Europy; kiedy nikt jeszcze nie nosił na głowie komina, zwanego cylindrem, lecz z dumą szlachetną chodził w okrągłej czapeczce z dzwonkiem u szczytu, — pewnego razu zawinął do portu w Jeddo, jakiś potwór morski, dyszący kłębami dymu, a chodzący po wodzie na dwóch łapach, obracających się w koło. Z wnętrza tego potworu wyszła para jakichś stworzeń, cokolwiek podobnych do pawianów, brzydszych wszakże od nich niepospolicie, czemu się przecie dziwić nie należy, bo Budda jest nie wyczerpany w swoich pomysłach. W swym małpim języku nazywała się ona Englisz, a przybyła do nas, aby Mikadowi złożyć czołobitność w imieniu pierwszej między niemi małpy.

Za niemi małpy niższego rzędu poczęły wynosić różne graty i przez właściwą sobie nieroztropność jeden z nich zgubiły. Była to owalna błyszcząca tablica, oprawiona w drzewo. Właśnie wówczas przechodził tędy pewien bardzo zacny człowiek, o czem nikt wątpić nie będzie, dowiedziawszy się, że był garncarzem. Podniósł on ów zgubiony przedmiot, popatrzał nań przetarł oczy, znowu popatrzał i zawołał głosem, który aż pod niebo wzleciał:

— O, wielki Buddo! Czy podobna! Widzę mego ukochanego rodzica, zmarłego przed dwudziestu laty. O, jakże on czerstwo wygląda! Tak długi przeciąg czasu wcale go nie zmienił. Tak, to on, niezawodnie on!

Gdy minął przestrach, którego źródłem było mniemanie, że trzyma w ręku jakiś wyrób czartowski, opanowała zacnego zduna tak gwałtowna radość, że w jakimś szale pobiegł do domu, zabrawszy ze sobą znaleziony przedmiot. Niech mu to Budda raczy zapomnieć!

W małym lamusie, pełnym gratów zużytych i rupieci, których już dawno nikt nie dotykał, znalazł kątek ciemny, tuż obok okiennicy. Tam to schował znaleziony przedmiot, a co godzinę odrywając się od roboty, ostrożnie się przekradał do lamusu, odchylał okienicę i z gorącem uczuciem patrzał w oblicze ukochanego rodzica, zwracając do niego najczulsze wyrazy. Rodzic to się uśmiechał, to łzy ronił, a wciąż coś mówił, ale tak cicho, że żadne ucho słów jego uchwycić nie mogło. Srodze to bolało poczciwego garncarza, począł schnąć, a spostrzegłszy, że i twarz rodzica także się obleka co raz większym smutkiem, wpadł w taką rozpacz, że już tylko o tem myślał, którym nożem brzuch sobie rozpróć.

Tymczasem czcigodna pani garncarzowa, nie lubiąca, aby przed nią miano jakikolwiek sekret, poczęła podpatrywać męża. Wąż podejrzenia o niewierność małżeńską wślizgnął się do jej serca. Była ona kobietą młodą i gorącego temperamentu, więc — jak zresztą wszystkie japonki — nie mogła pogodzić się z myślą, że to, co było jej własnością, stało się udziałem jakiejś wietrznicy. Zakradła się tedy do lamusu i po długich szperaniach znalazła zaczarowany przedmiot, spojrzała nań i pons oburzenia wystąpił na jej czcigodne oblicze.

— Jak to? — zawołała. — Kobieta? Tu kobieta? Ha! Teraz jestem pewna zbrodni tego niecnoty! O, wielki Buddo! Mąż już mnie nie kocha!

Z jej pięknych ukośnych oczu polały się łzy zmartwienia i gniewu. Z nienawiścią poczęła się przypatrywać swojej rywalce.

— I żebyż się przynajmniej zakochał w czemś podobnem do ludzi! — odezwała się wreszcie, pogardliwie wzruszając ramionami. — Mniejby to mnie bolało. Alež to babsko, to jakaś maszkara! Co za usta, jaka cera! Głowębym dała, że ma wstawiane zęby! A spojrzenie jakie złośliwe!... Fe! Ci mężczyźni to się tylko w małpach kochają! No! Ale że zmyję mu głowę, to zmyję! Poczekaj zdrajco!

I z gniewem wypadła z lamusu, groźnie potrząsając w ręku wizerunkiem swej rywalki. Właśnie się zdarzyło, że w tej samej chwili mąż jej pokryjomu zbliżał się do lamusu. Więc podsunąwszy mu pod twarz polerowaną tablicę wykrzyknęła wściekle:

— Aha! Już się przekradasz do swej kochanicy! Na! Masz! Zachwycaj się tem czupiradłem!... A! ty niecnoto, ty szkaradny poniewierco!... Zaniedbujesz swą prawowitą małżonkę i dla kogo? Popatrz, popatrz tylko!... Porównaj nas obie!

— Co ci jest, kobieto? — ze zdziwieniem odezwał się garncarz, patrząc na szklistą powierzchnię tablicy. — O jakiej kochance mówisz? Przecież ja ciebie tylko kocham!

— A, bezczelny! Jeszcze śmiesz mi w żywe oczy kłamać! Co prawda, ta twoja luba więcej podobna do morskiego straszydła, jak do kobiety, ale cóż!... twój gust zachwycający!... twoje pojęcie o piękności!... No, nie wstydź się teraz, pocałuj ten wizerunek jakiejś pospolitej dziewki!

— Oszalałaś, kobieto! Przecież spojrzyj tylko spokojnie. Wszak to szlachetne rysy mego nieboszczyka ojca; jego dobre oczy smutno patrzą na mnie i tak łagodnie uśmiechają się usta, że serce moje rwie się do niego.

— Przebrzydły kłamco! — z głęboką wzgardą odezwała się kobieta po krótkiem milczeniu, w czasie którego pilnie się przypatrywała błyszczącej tafli. — Nienawidzę ciebie! Przy tej niecnej wietrznicy nauczyłeś się fałszu. Precz odemnie! Idź sobie gdzie chcesz z tym wstrętnym wizerunkiem, który wzbudza we mnie obrzydzenie.

— Żono! żono! Waż słowa! Waż je umysłem spokojnym. Ja nie pozwolę nawet tobie tak się odzywać o tej pięknej twarzy, tchnącej szlachetnością!

— Pięknej twarzy! A to mi piękna, jak żaba, bryzgająca śliną cuchnącą! Tchnąca szlachetnością! Tak! Chyba szlachetnością bezwstydnicy!

Oczy garncarza błysnęły gniewem; usta jego zacięły się groźno, a silne ręce mocno ujęły za ramię kobiety, która z wielką zręcznością chwyciła za niedotykalną, świętą prawie ozdobę każdego mężczyzny, za kosę, której całości każdy winien strzedz jak honoru.

Stałaby się rzecz niebywała w dziejach japońskiej rodziny. Silna pięść garncarza przyczyniłaby żonie bólu do tych cierpień słusznej zazdrości, która nią miotała. Z głowy męża razem z kosą spadłby jego honor. Potem on brzuch rozprółby sobie, a ją, nagą, pędzonoby po ulicach bambusowemi kijami, dopókiby martwa nie padła w proch.

Lecz wielki Budda niezmrużonemi oczami patrzy na wiernych!

Gdy już spór między małżonkami stał się bardzo głośny, natenczas ku ich domostwu, poważnemi krokami, zbliżył się siwowłosy starzec, piastujący godność stróża moralności i porządku.

— Co się u was stało, moje dzieci? — zapytał ten godny urzędnik.

— Ach, zacny panie! — zawołała wtedy kobieta, płacząc rzewnemi łzami. — Mój mąż ma kochankę! Ma szkaradną kochankę!

— Nie słuchaj jej, dostojny panie! — wtrącił garncarz. — Jestem bardzo nieszczęśliwy; żona mi najwidoczniej zwarjowała!

— Zwarjowała? Dopiero teraz? — odezwał się poważny urzędnik. — Ażaliż nie jest ci wiadomem, że wszystkie kobiety od urodzenia warjatkami są? Uspokój się i opowiedz, co między wami zaszło!

Gdy posłuszny temu wezwaniu garncarz treściwie i wiernie wyłożył rzecz całą, urzędnik rzekł:

— Pokażcie mi ową taflę! — A że i on także nigdy jeszcze takiej rzeczy nie widział, więc patrzał na nia długo, przecierając oczy. Potem zaś się odezwał:

— Moje dzieci! Jesteście w błędzie! Pogódźcie się i niech spokój panuje w waszym domu. Nie jest to wizerunek ani twego nieboszczyka ojca, mój synu, ani tembardziej żadnej istoty podobnej do niewiasty, moja córko! Jest to wizerunek sławnego męża stanu, więc miejsce tej tafli nie u was, lecz na przedniej ścianie w świątyni Buddy.

I z temi słowy urzędnik się oddalił, zabrawszy polerowaną tablicę, oprawną w drzewo, a gdy w oddaleniu ucichł odgłos jego sandałów, nateneczas małżonkowie, zupełnie zadowolnieni z jego sądu, rzucili się sobie w objęcia.

KRONIKA.

Nekrologja. Mieczysław br. Błażowski, syn poważanego br. Krzysztofa, właściciela Jazłowca, umarł nagle na udar serca w Ryszowie.

Mianowania. P. Namiestnik zamianował wachmistrza i komendanta posterunku żandarmerji we Lwowie, Jana Holubę, prowizorycznym kancelistą Namiestnictwa.

Rada szkolna krajowa zamianowała Bazylego Wołoszczaka rzeczywistym nauczycielem szkoły etatowej w Mokrzanach wielkich: Walentego Kaplita rzecz. nauczycielem, zawiadującym stale szkołą filjalną w Bereźnicy; Andrzeja Mazanka rzecz. nauczycielem szkoły etatowej w Dobrzechowie i Józefa Rybaczewskiego rzecz. nauczycielem, zawiadującym stale szkołą filjalną w Łaszkach gościnnych.

Ks. Feliks Rożański, dotychczasowy bibjotekarz w Eskurjalu, mianowany został dekretem królewskim z dnia 20 listopada kanonikiem przy metropolji w Tarragonie. Król Alfons nadał tę posadę ziomkowi naszemu w uznaniu zasług jego około bibljoteki eskurjalnej.

Z kapituły lwowskiej. Ks. Zygmunt Odelgiewicz, długoletni proboszcz parafji św. Mikołaja, mianowany został kanonikiem archikatedry lwowskiej i we czwartek ubiegły pożegnał z ambony parafjan swoich.

Przeniesienie. Notarjusz p. Jan Wysocki z Krośnenka przeniesiony został do Mszany dolnej.

Koło literacko-artystyczne przeniosło się wczoraj z gmachu Towarzystwa kredytowego do domu p. Kiselki przy placu Marjackim, gdzie obszerniejsze i wygodniejsze znalazło pomieszczenie.

Uroczyste otwarcie toru łyżwowego, od tak dawna wyczekiwane, nastąpi wreszcie jutro w niedzielę, z programem afiszami ogłoszonym. Ustalająca się cokolwiek zima może nie zawiedzie teraz amatorów sportu łyżwowego i dozwoli nakoniec rozpocząć sezon na lodzie.

Panna Ella Russel, śpiewaczka amerykańska, przybyła onegdaj do Lwowa na szereg gościnnych występów.

W Radziwiłłowie aresztowały władze rosyjskie — jak donoszą ze Lwowa do *Wiener Allg. Ztg.* — austrjackiego oficera rezerwowego. Przy rewizji miano znaleźć przy nim plany zdjęte z fortyfikacji Dubna.

Raport policyjny z 3. stycznia. Skradziono p. J. P. 22 ul. Kopernika futro długie z czarnych baranów pokryte bronzowem suknem w pasy. — B. S. 23 na Rurach 10 sznurków korali wart. 40 złr.

Przytrzymano. Jana Mitręgę z kocem pochodzącym z kradzieży. — Franciszka Kośiołka z ogonem końskim świeżo uciętym i krwią zbroczonym.

Zajęto. 2 konewek drewnianych u Katarzyny Szwiec. — Jedną głowę cukru u znanego złodzieja Walentego Jaworskiego.

U p. J. S. porucznika 9 pułku artylerji znajduje się zbłąkany pies do polowania, maści żółtej, jeszcze młody.

= **Kraków** dnia 2. stycznia. (Koresp. *Przegl.*) Ze sprawozdania miesięcznego, jakie złożył wydział tutejszego stowarzyszenia ku niesieniu pomocy ubogim uczniom szkół ludowych krakowskich, dowiadujemy się, że w grudniu r. z. rozdano ciepłej odzieży sprawionej z funduszów towarzystwa we wszystkich szkołach ludowych po kilkanaście sztuk ubogiej dziatwie. Rozdane bluzki i kaftan sprawione były z ciepłego barchanu; kaftany żeńskie uszyte były w szkołach żeńskich, a bluzki męzkie w większej części w szkole wydziałowej żeńskiej i w szkole będącej pod kierownictwem panny Pogonowskiej. Nadto zaś na rzecz stowarzyszenia przysłała pani Seweryna Górska 21 sztuk odzieży, pochodzącej z własnoręcznej pracy jej uczennic. JE. ks. kan. Schindler złożył na rzecz stowarzyszenia 50 zł., a nieznana osoba 10 zł. Przewodniczący stowarzyszenia p. prof. Zoll dziękuje składającym za te dary, które według naszego przekonania wskazują nadto, jak łatwo nieść można pomoc, gdy ona jest dobrze zorganizowaną. Uczennice, szyjące na pensji ciepłe kaftaniki dla ubogiej dziatwy, to piękny przykład praktyki chrześciańskiego miłosierdzia.

— Zawiązany w naszem mieście od roku klub adwokacki odbył we środę posiedzenie, na którem poruszoną została myśl utworzenia kasyna dla klubu i osób przez niego zaproszonych; wybrana komisja zajmie się bliższem zbadaniem tego wniosku. Rzecz głównie chodzi o to, aby życie towarzyskie, jakiego owo kasyno ma być ogniskiem, opierało się niekoniecznie na... kartach.

— Dr. Franciszek Paszkowski i dr. Józef Rosenblatt wpisani zostali świeżo w listę adwokatów z siedzibą w Krakowie i otworzyli już kancelarje.

ROZMAITOŚCI.

— **Nowy utwór Sardou.** Świat ze wszystkiemi swojemi sprawami zmalał w oczach Paryżan od tygodnia. Tydzień temu w teatrze Porte Saint-Martin po długich przygotowaniach wystawiono pięcioaktową sztukę Sardou *Teodorę*. O reklamie, jaka ją poprzedziła, o kosztach, jakie na nią wyłożono, o cenach, jakie płacono za możność ujrzenia tej premiery — zbytecznem będzie się rozwodzić. Natomiast dużo dałoby się powiedzieć, o ile rzeczywiście odpowiedziała oczekiwaniom, o ile chłodna krytyka zgodziła się z gorącym entuzjazmem ogółu. Wszystkie dzienniki paryskie od dłuższego już czasu podawały formalne biuletyny o zbliżającym się nowym scenicznym fenomenie i też same dzienniki z rzadką zgodnością dość surowo go dziś oceniają. Zanim paryski nasz korespondent, jako naoczny świadek, poda czytelnikom *Przeglądu* dokładne i oryginalne sprawozdanie z ostatniego „wypadku dnia“ w nadsekwańskiej stolicy, pospieszamy z echem dotychczasowej opinji dzienników o *Teodorze* i streszczeniem sztuki samej.

Chociaż amfiteatr wysprzedano i to po cenie 1000 franków za lożę a 300 fr. za fotel, chociaż takich przedstawień prorokują znawcy paryskiego bruku na kilkaset — sztuce da się zarzucić bardzo wiele, powodzenie zaś jej w ogóle należy policzyć za zasługę wszystkim raczej niż — autorowi. Mianowicie przedewszystkiem mistrzowskiej pod względem technicznym grze Sary Bernhardt, ślicznej, charakterystycznej muzyce Massenet'a, znakomitemu ensemble'owi złożonemu z pierwszorzędnych sił artystycznych, olśniewającym dekoracjom z pracowni najlepszych Paryża malarzy, wreszcie z przepychem i inteligencją dokonanemu uscenizowaniu przez dyrektora Duquesnel.

Ten cały apparat był dla *Teodory* niezbędny i w tem leży cała utworu strona słaba, wszystkie zarzuty, jakie przeciw niemu ze stanowiska bezstronnej krytyki dadzą się podnieść. Sztuka formalnie dla tego apparatu została napisaną, ma pretensye do historycznej tragedji, a tymczasem jest tylko dramatem w pospolitem tego słowa znaczeniu. Główne jej postacie, to same typy współczesne, do tragicznych bohaterów zbliżone jedynie — kostjumem; wszystkie czyny, to same zbrodnie — cała akcja robi przygnębiające wrażenie, lecz nie budzi zapału, a co najważniejsza: właściwie zaczyna się dopiero z końcem trzeciego aktu! Słowem — swoją drogą może zbyt złośliwe pióra — upatrują w *Teodorze* tylko doskonałe libretto dla Massenet'a i zachęcają go, by do staroegipskiej *Aidy* stworzył *pendant* z bizantyńskiej heroiny.

Teodora to żona cesarza Justyniana, wyniesiona do tej godności z cyrkowej komedjantki i kurtyzany. Kocha się ona w młodym Greku Andrzeju, który nic o tem nie wie, że jest cesarzową. Aby zapewnić sobie wzajemność kochanka, udaje się Teodora do pewnej cyganki po napój miłosny. Cyganka poznaje w klientce swą dawną towarzyszkę w zawodzie i godzi się zadość uczynić jej prośbie, zwłaszcza, iż jest przekonaną, że ten płyn czarodziejski dostanie się znienawidzonemu przez nią władcy, małżonkowi klientki. Zamiast więc żądanego napoju daje flakonik z trucizną. Tymczasem Andrzej przystąpił do spisku na życie Justynjana; spisek się nie udaje, a spiskowcy mają uledz karze śmierci. Andrzeja ratuje Teodora, zabijając własną ręką spiskowca, który jej kochanka mógłby zdradzić; poczem uwolnionemu ofiarowuje płyn cyganki, nie przeczuwa bowiem fatalnego *qui pro quo*. Andrzej naturalnie ginie, a równocześnie zjawia się przed karygodną małżonką wysłany przez Justynjana siepak i w milczeniu podaje jej czerwony sznur jedwabny. Teodora skłania głowę ku zwłokom ukochanego, a do posła śmierci mówi: „jestem gotową!“

— **Zatrucie przez tapety.** Ze Sztokholmu donoszą, iż w zamku królewskim musiano temi dniami dwa przez księżniczkę zajmowane pokoje na nowo obijać tapetami. Od pewnego czasu zaczęła księżniczka zapadać mocno na zdrowiu, a ścisłe badania lekarskie wykazały, iż przyczyną choroby są prześliczne wprawdzie, lecz nader niebezpieczne, bo zawierające sporo arszeniku, tapety.

— **Piękna prasa.** Według wykazu dzienników z 15. czerwca 1884 r. miało w Wiedniu wychodzić 611 gazet, a w tej poważnej cyfrze 594 niemieckich. Co za potęga inteligencji! Zbadawszy jednak bliżej ten katalog, można się było przekonać, że w nim tylko 40 właściwych opisano dzienników i 250 pism fachowych, bellestrystycznych i umiejętnych, reszta zaś owych 300 gazet, to tytuły pisemek jednodniowych, rewolucyjnych, żyjących tak długo, dopóki ich egzystencji ktoś dobrze nie zapłaci. Jakiś p. Ignacy Schuster był właścicielem 22 gazet, które tego roku wychodziły w Wiedniu! Oczywiście takie dzienniki śledzą tylko, aby wyłowić jaką nieuczciwość, jaki skandal i połowę tego opisać, a za nienapisanie drugiej połowy kazać sobie zapłacić.

Oto piękna prasa, piękna kierowniczka opinji publicznej.

— **Olbrzymie zadanie** Na zlecenie administracji angielskie astronom Gill, dyrektor obserwatorjum w Capstadt w południowej Afryce, postanowił zdjąć sposobem fotograficznym kartę południowego nieboskłonu ze wszystkiemi gwiazdami aż do dziewiątego stopnia.

Dzieła tego zamierza profesor Gill dokonać za pomocą fotograficznego teleskopu.

— **Dziennik About'a** *Le XIX Siécle* — jak donoszą z Paryża, ma być wskutek uchwały akcjonarjuszów zwinięty, a to dlatego, że główny jego regaktor zajął w parlamencie stanowisko nieprzyjazne wobec stronnictwa oportunistycznego.

Część ekonomiczna.

Losy miasta Krakowa. Dnia 2. b. m. odbyło się w sali rady miejskiej krakowskiej ciągnienie losów pożyczki m. Krakowa, przyczem główna wygrana 25.000 zł. padła na numer 20.898, druga wygrana 2000 zł. padła na numer 16.917, po 600 zł. wygrały losy nr. 38.192, 20.621, 14.597, 64.813, 53.696, reszta wyciągniętych losów w liczbie 300 wygrała po 36 zł.

Targ zbożowy na Baranie i Kleparzu według wiadomości z biura Izby handlowo-przemysłowej krakowskiej dnia 1 i 2 stycznia.

W dniu Nowego Roku, nie było żadnego dowozu zboża na granicy Kongresówki, tak na Baranie jakoteż i w Michałowicach.

Jako po niebyłem wczoraj targu na granicy Kongresówki, dowóz zboża na dzisiejszy targ kleparski był bardzo mały, a gdy z kupców zamiejscowych i zagranicznych żadnego nie było targu, ruch i obrót były bardzo małe, tendencja jednak stała a cena pszenicy podniosła się o 10 ct. Żyto, jęczmień i owies płacono po cenach z ostatniego targu.

W nasionach strączkowych obrót mały, rzepaku nie było w targu, koniczyna biała znajduje pokup, czerwona zaniedbana.

Na dzisiejszym targu spodziewano się większego obrotu, a to tem więcej, że we wtorek, jako w święto Trzech Króli, nie będzie targu.

O jakichś większych tranzakcjach nie słyszeliśmy, zakupna zaś odbywały się w mniejszych partjach.

Płacono za 100 ilogramów.

Pszenicę żółtą	7.90	8.30
„ czerwona	8.—	8.45
„ biała	8.—	8.50
Żyto polskie	7.52	7.40
„ galicyjskie	7.10	7.30
Jęczmień browarny	7.25	7.60
„ na kaszę	6.75	7.20
Owies z opłatą konsumcyjną	7.10	7.50
Groch	8.75	11.—
Fasola	10.—	13.—
Wyka	0.—	0.—
Kukurydza	7.25	7.75
Proso	7.25	7.75
Jagły	12.—	13.50
Tatarka	7.50	8.—
Rzepak	12.—	12.75
Koniczyna biała	45.—	60.—
„ czerwona	40.—	45.—

Ostatnie wiadomości.

Przedwczoraj o godz. 1 po południu zgromadziło się w pałacu ks. Adama Sapiehy grono osób, złożone z większych właścicieli dóbr, reprezentantów handlu zbożowego i specjalistów w kwestjach ekonomicznych, w celu naradzenia się nad dobijającem nasz kraj przesileniem rolniczem i wynalezieniem środków ratunku. Po wyczerpującej dyskusji, która trwała do godz. 4 wieczór, a w której przedyskutowano szczegółowo niektóre kwestje, jak np. taryfową i cłową, również macosze traktowanie przez koleje żelazne naszych młynów, wybrali zgromadzeni komisję i polecili jej opracować do dnia 20. b. m. projekt ratowania upadającego rolnictwa.

Do komisji tej weszli członkowie wydziału Tow. agrononicznego, pp. Dawid Abrahamowicz, Pilat, Schellenberg i Buber, a nadto przydzielono do niej pp. Stanisława Polanowskiego i Rutowskiego. Projek, jaki ta komisja opracuje, służyć będzie za materjał do obrad ogólnoaustrjackiego kongresu agronomicznego, który ks. Sapieha, jako jego prezes, zamierza niebawem zwołać do Wiednia. Swoją zaś drogą wpływowi ludzie pracować nad tem będą, aby dla środków ratunkowych, obmyślanych przez rzeczoną komisję, pozyskać sympatję u sfer rządowych i ich poparcie.

Nadmienić wypada, że jak gdyby dla popisania się z tem, jak po macoszemu traktują nas koleje żelazne swojemi taryfami; nadeszła przed dwoma dniami do Lwowa i na zgromadzeniu u ks. Sapiehy zbadaną została nowa zmiana w taryfie kolei północnej, zaprowadzona trzy dni temu, a bijąca w samo serce nasz przemysł naftowy.

Wiadomo, że całe Węgry i południowa Austrja, dzięki właśnie tym kolejowym taryfom, używają już nafty kaukazkiej. Dotąd jednak wolne od niej były Czechy i Morawja.

Kolej północna zniżyła obecnie tak taryfę dla nafty kaukazkiej, że niebawem galicyjska nafta nie będzie już mogła konkurować z kaukazką nawet w północnych prowincjach Monarchji. I co jest charakterystyczne, że robi to ta kolej, na którą tak słuszne panuje w całym kraju oburzenie i która, jeżeli kiedy, to przynajmniej teraz powinna unikać wszystkiego, co to oburzenie potęgować może.

Telegramy biura korespondencyjnego.

Wiedeń 3. stycznia. W obec tego, że *Nowa Presse* zarzuciła Dyrekcji austro-węgierskiego banku, iż żywi jakieś tendencje ekspansywne, jeneralny sekretarz Leonhardt ogłasza następujące sprostowanie: Już w lutym 1884 r. wystosowała Dyrekcja austro-węgierskiego banku do wszystkich swych filij poufny okólnik, w którym poleciła, iżby ze względu na nader niepomyślną ogólną sytuacją ekonomiczną, badały starannie stosunki i stan interesów tych firm, które są mocno zaangażowane w spekulację cukrową i zbożową.

Okólnik polecał szczególnie mieć to na uwadze przy eskontowaniu weksli takich firm, a ewentualnie przy udzielaniu im otwartego konta. Nadto zalecał ten okólnik studjować, czy przy dawaniu podpisów na weksle nie wyświadczają sobie wzajemnych usług takie firmy, czy niema między niemi jakich stosunków, dających do myślenia o wspólnem ich zaangażowaniu się — a w końcu czy nie stoją ich szefowie w stosunku pokrewieństwa. Gdyby jedno z tego miało mieć miejsce, okólnik stanowczo nakazywał odrzucać weksle.

Wyjątek miało tylko to stanowić, co ze względu na lokalne kredytowe stosunki mogło, przy konsekwentnem odrzucaniu weksli, doprowadzić do niebezpiecznych komplikacyj. Okólnik podawał także wskazówki, jak należy postępować z kasami oszczędności i stowarzyszeniami kredytowemi. Przytaczamy to wszystko, twierdzi jeneralny sekretarz, że dyrekcja zaniechałaby swego obowiązku, gdyby z obawy przed zmniejszeniem się portfelu albo z tendencji do rozszerzenia działu eskontowego, upuściła z oka bezpieczeństwo lokowanych kapitałów. Okólnik szedł pod tym względem tak daleko, że zalecał wywierać odpowiedni wpływ na komitet cenzorów, a w razie gdyby i to skutku nie odniosło, polecał naczelnikowi filji korzystać z przysługującego mu prawa veto.

Petersburg 3. stycznia. Z powodu doniesień dzienników wiedeńskich oświadcza *Journal de St. Petersbourg*, iż rząd rosyjski pełnomocnikom swoim w Belgradzie i Sofji wskazywał zawsze drogę ugodową w sprawach spornych, jako najkorzystniejszą dla obu państw, chociażby to do najfantastyczniejszych wniosków dziennikarskich posłużyć mogło. Dziennik wspomniany ogłasza: Iż podatek stemplowy od akcyj przy emisji lub zamianie same Towarzystwa opłacać powinne.

Nowosti donoszą, iż Rada państwa rozszerzyła podatek dochodowy na wszystkie gałęzie przemysłu.

Zagrzeb 3. stycznia. Posiedz nie Izby posłów. Obie partje opozycyjne pojawiły się w komplecie w Izbie. Prezydent nie pozwala na odczytanie interpelacji Hinkovicza, należącego do partji Starcevicza; interpelacja żąda wyjaśnienia, dla czego nie dopuszczono projektu adresowego Starceviczowskiej partji pod obrady.

Na pytanie, z jakiego powodu wykluczono partję Starcewicza, przypomina prezydent uchwałę sejmu, zamykającą dalszą w tej sprawie dyskusję. Poczem przeszedł sejm do porządku dziennego.

Madryt 3. stycznia. W prowincji Granada powtórzyło się znowu straszliwe trzęsienie ziemi. Przerażenie mieszkańców nie do opisania. Na razie nie można podać wykazów szczegółowych. W przybliżeniu tylko obliczają liczbę ofiar w Granadzie od 25. grudnia na 910 osób.

Londyn 3. stycznia. Gladstone zapadł na zdrowiu podobnie jak przed dwoma laty; cierpi na bezsenność.

Rzym 3. stycznia. Posłowie chińscy Lifongyas i Szutsi-tszen wyjechali do Berlina.

Londyn 3. stycznia. Wczoraj wieczorem nastąpiła między stacjami kolei podziemnej Gowerstreet a Kingeross eksplozja. Urzędnicy kolejowi zapewniają, iż nastąpiła skutkiem podłożenia dynamitu. Wszystkie szyby w wagonach rozprysły się, gaz zagasł, w murze tunelu wyrwało otwór dwie stopy szeroki i wysoki. Wybuch był tak silny, że zatrzęsły się w posadach w pobliżu stojące domy. Trzy osoby lekko skaleczone.

Londyn 3. stycznia. Gladston jest od dni kilku mocno cierpiący. Wzywał pięciu lekarzy, dwie noce spędził bardzo niespokojnie, wczoraj jednak polepszyło mu się nieco, tak, że mógł nawet wziąć udział w naradzie gabinetowej.

Paryż 3. stycznia. *National* przypuszcza, że rząd francuski zakupi terytorjum Szeika Saida.

Elberfeld 3. stycznia. List Bismarka wystosowany do komitetu, który się zajmował tu zbieraniem składek na opłacenie posady drugiego dyrektora w ministerstwie spraw wewn. wyraża naprzód podziękowanie za ofiarność i powiada dalej, że w tych zgodnych objawach opinji publicznej widzi on dowód, że naród już poznał, jakie niebezpieczeństwo grozi krajowi ze strony teraźniejszej większości parlamentu, większości, która tylko wtedy jest solidarną, gdy idzie o walczenie z rządem, ale która rozbiłaby się natychmiast, gdyby sama chciała rząd stworzyć. Ponieważ niepodobna ofiar nadsyłanych ze wszech stron użyć na udotowanie posady rządowej, przeto zapowiada Bismark w końcu swego listu, że wystąpi z wnioskiem, co z temi ofiarami zrobić.

Telegramy „Przeglądu“

na własnym drucie.

Berlin 3. stycznia. Po zbadaniu tytułu posiadłości Lüderitza w zatoce Santa Lucja, polecił rząd zatknąć tamże flagę niemiecką i zawiadomić o tem swem rozporządzeniu gabinet angielski.

Paryż 3. stycznia. Przybycie ex-chedywa Izmaiła Paszy daje tu powód do wskrzeszenia przypuszczeń, że stara się on o odzyskanie dawnego swego stanowiska. Projekt usunięcia z Chedywatu Tefika baszy, a mianowanie w jego miejsce kogo innego, zyskuje poparcie u Turcji, jednakże sułtan nie myśli, jak się zdaje, powołać na tron egipski Izmaiła baszę. Zanotować wypada, że według informacyj ambasadora tureckiego w Londynie, projekt zmiany chedywa napotkałby na stanowczą niechęć Anglji.

Tryjest 3. stycznia. Ambasador niemiecki br. Keudell, miał oświadczyć rzymskiemu korespondentowi dziennika *Corriere della sera*, że Tryjest został uznany w sferach decydujących jako stanowczo najlepszy punkt wyjścia dla subwencjonowanych linij okrętowych, i że ajent Bismarka istotnie przybył do Tryjestu, skąd udał się dla przeprowadzenia dalszych studjów do Brindisi. *Corriere* donosi, że Mancini chce się z tego powodu podać do dymisji.

Berlin 3. stycznia. *Kreuz Zeutung* zwraca w inspirowanym artykule uwagę na tworzące się zawikłania w sprawie kanału Panamskiego i dodaje, że aby uniknąć niebezpiecznego starcia między mocarstwami, najlepiej byłoby uporządkować tę sprawę w drodze międzynarodowego porozumienia. Niemcy, dodaje *Kreuz Ztg.*, bacznie śledzą rozwoju sprawy Panamskiej, niemniej bacznie od Francji i Anglji.

Paryż 3. stycznia. Margrabia de Noailles pozostanie na swem dotychczasowem stanowisku w Konstantynopolu.

Berlin 3. stycznia. Do tutejszego *Tageblatu* donoszą z Madrytu, że podana przez *Standard* wiadomość o wybuchu nieporozumienia między Niemcami a Hiszpanią w sprawach kolonjalnych jest zupełnie prawdziwą.

Wiedeń 3. stycznia. W „Deutscher Verein“ wybuchły nieporozumienia. Związek ten, który urządzał wszystkie wielkie centralistyczne parteitagi i na czele którego stał dr. Kopp od chwili jego założenia, otrzymać ma nowe prezydjum.

Wszyscy członkowie teraźniejszego prezydjum podali się do dymisji, a na ich miejsce kandydują *homines novi*, którzy postawili sobie za zadanie energiczniejszą działalność w kierunku zarówno agitacyjnym, jak narodowościowym.

Kotar 3. stycznia. Tureckie władze w Skodarze zasekwestrowały czarnogórski parowiec na rzece Bojana. Rewizja wykazała, że na statku znajdowała się broń i amunicja. Kto ją wysyłał i gdzie ją miano wyładować — nie zdołano wykryć.

Berlin 3. stycznia. Pogłoska, że Austrja, Niemcy i Rosja, porozumiały się już ze sobą co do środków wspólnego ścigania żywiołów anarchicznych, jest pozbawiona wszelkiej podstawy.

Konferencyja afrykańska rozpocznie swe roboty w poniedziałek o drugiej po południu.

Niebawem nastąpi nominacja hr. Herberta Bismarka, sekretarzem stanu w ministerstwie spraw zewnętrznych.

Deputacji, która przybyła z Aleksandrji i domagała się rozwiązania sprawy odszkodowania strat, jakie podczas bombardowania Aleksandrji przez Anglików poniosła kolonja europejska, odpowiedział Bismark, że sprawa ta nie ma nic wspólnego z odbywającą się obecnie konferencją afrykańską.

Praga 3. stycznia, Do *Bohemji* donoszą z Berlina, że stanowisko włoskiego ambasadora hr. de Launay, uważają w kołach dobrze poinformowanych za zachwiane. Pominąwszy już przyczyny głębsze, które uchylają się na razie od jawnego traktowania, podają w Berlinie za powód możliwego ustąpienia hr. de Launay widoczną oziębłość w stosunkach pomiędzy Włochami a Niemcami. Włochy miały od czasu nieudania się konferencji londyńskiej przy każdej sposobności silnie zaznaczać swoją przychylność dla dążeń angielskich. Taka postawa musiała w dzisiejszych okolicznościach zmniejszyć sympatję Niemiec dla Włoch. W Berlinie spoglądają z niedowierzaniem na rosnącą serdeczność gabinetów londyńskiego i rzymskiego i chcą upatrywać w podróży ks. Genui do Anglii, jakąś ważną misję dyplomatyczną. Jakkolwiek zresztą mniemaćby wypadało o trafności takiego domysłu, rzeczą jest pewną, że termometr niedawnej jeszcze serdeczności między Włochami a Niemcami, wskazuje punkt marznięcia. Ale hr. de Launay jest tak gorliwym zwolennikiem przyjaźni niemiecko-włoskiej, że niepodobna mu będzie przetrwać na stanowisku berlinskiego ambasadora jej upadek.

Wiedeń 3. stycznia. Ubytki w dochodach funduszów krajowych i miast spowodowane upaństwowieniem prywatnych kolei żelaznych skłoniły kilka Wydziałów krajowych i Reprezentacje wielu miast do podjęcia rokowań celem wyczerpującego rozbioru pytania, jakich środków użyć należy do zapobieżenia stratom funduszów krajowych i miejskich.

Na zaproszenie Reprezentacji miasta Wiednia z d. 31. maja b. r. wziął galicyjski Wydział krajowy przez swego delegata p. dra. Raczyńskiego udział w naradzie co do tego przedmiotu, odbytej w Wiedniu dnia 26. i 27. czerwca 1884.

Wynikiem tych obrad była uchwała następującej treści: „Interesowane Reprezentacje krajowe i gminne wniosą do Rady Ministrów i do obu Izb Rady państwa petycje o wydanie ustaw, regulujących opodatkowanie na rzecz kraju i gmin dochodów kolei państwowych na podstawie następujących postanowień:

I. Rząd państwa ma spłacać samoistne opłaty na rzecz krajów i gmin od kolei żelaznych, obecnie będących już jego własnością lub przezeń zarządzanych, zarówno jak od takich, które w przyszłości przejdą na jego własność lub pod jego zarząd, a to bez względu na to, czy koleje te przy upaństwowieniu już były opodatkowanemi, czyli też szczegółowemi ustawami uwolnionemi od płacenia podatków — a te opłaty obliczać należy podług ustaw podatkowych, mających dotąd moc obowiązującą dla prywatnych kolei żelaznych.

Aż do wejścia w życie takiej ustawy należy zarządzić w drodze ustawodawczej, by krajom i gminom, które przez upaństwowienie prywatnych kolei uszczerbek w dochodach poniosły albo też w przyszłości poniosą — przyznano ze skarbu państwa wynagrodzenie przez uiszczenie kwoty, równej opłacie dotąd pobieranej, obliczonej z przecięcia ostatnich trzech lat ruchu kolejowego.

II. Rozkład tych opłat krajowych i gminnych pomiędzy poszczególne kraje i gminy uskutecznionym być ma na podstawie ustawy z 8. maja 1869. (N. 61 d. u. p.)“

W ubiegłym miesiącu wystosował galicyjski Wydział krajowy memorjał do Koła polskiego w Radzie państwa na ręce prezesa Koła Ekscelencji Grocholskiego przedstawiając powyższy stan sprawy tak ważnej dla funduszu krajowego z prośbą o zaopiekowanie się nią i przedsięwzięcie kroków dla ochrony funduszu krajowego i gmin interesowanych.

Belgrad 3. stycznia. Rezultat wyborów do rad miejskich wypadł wszędzie po myśli partji postępowej, stojącej obecnie u steru.

Wiedeń 3. stycznia. W przyszłym tygodniu zostanie sztab Jarosławskiej dywizji kawalerji przeniesiony do Krakowa.

Wiedeń 3. stycznia. Biskup Strossmajer wystosował do *Politische Correspondenz* następujące pismo: „Wiadomość o moim stosunku do kroackiego bana muszę napiętnować jako niedyskrecję a zarazem jako karygodne zdradzenie urzędowej prezydjalnej korespondencji między mną a banem“.

Wiedeń 3. stycznia. Na wczorajszem posiedzeniu wiedeńskiej Rady miejskiej przyszło do zajść burzliwych. Powodem była mowa dra Mandla wypowiedziana podczas obrad nad budżetem miejskim.

Mandl odważył się stałemu referentowi bedżetowemu dr. Pollakowi z Borkenau, który zasiada także w Radzie zawiadowczej towarzystwa eskontowego zarzucić, że pieniądze gminy są ulokowane ze szkodą komuny nie w pięcioprocentowych papierach państwowych, ale w dwu i pół a najwyżej trzy procentowych czekach towarzystwa eskontowego. Mowca odczytał tabele, z której wypływa, że w towarzystwie tem deponowała kasa miejska czasem 15 milionów, czasem 10 milionów, 8 milionów a ostatnim razem 4,600.000 złr. Jako jeszcze bardziej uderzającą podniósł tę okoliczność, iż kiedy komunie gotówki brakowało, to sprzedawano 5% złotą rentę austrjacką, którą wtedy jeszcze miano, a nie odważono się wypowiedzieć towarzystwu eskontowemu 3% jego asygnat kasowych lub czeków. W ogóle Rada miejska zastosowywała — zdaniem mowcy — w osobliwszy sposób na polu finansowem swoje uczucia patrjotyczne.

Z tajnego protokołu z r. 1867 dowiaduje się mowca, że ówczesna komisja wysadzona z Rady miejskiej celem przeprowadzenia konwersji, postanowiła założyć fundusz rezerwowy, do którego jednak nie miano przyjmować papierów państwowych. Widocznie praktyka ta dotąd ma zastosowanie. Mowca zakończył oskarżeniem, że Pollak działa tu we własnym interesie. Stronnicy Pollaka wszczęli hałas, a burmistrz odjął w sposób wielce poważny głos dr. Mandlowi, co wywołało protest ze strony partji Mandla, następnie zaś ogólne zamieszanie. Niektórzy z rajców rzucili się na Mandla i chcieli go za drzwi wyrzucić. Pollak wśród ogromnego hałasu począł krzyczeć, że Mandl ściga go z powodów osobistych, a sprawa cała wyjaśni się przed kratkami sądowemi. Wreszcie uciszono hałas, wypróżniono galerje i zarządzono posiedzenie tajne. Na podstawie dawnych protokołów skonstatowano na niem, że Mandl nie mylił się głosząc, jakoby austrjackie papiery państwowe zostały prez komunę wykluczone.

Wiedeń dn. 3. stycznia. *Wiener Allg. Ztg.* omawia wiadomość o blizkiej koronacji cara Aleksandra III. w Samarkandzie na cesarza Azji środkowej. Rosja przystępuje do zdobycia Azji wedle ściśle określonego planu. Skutkiem tego przeniesie się środkowy punkt państwa z Petersburga do Moskwy.

Wiedeń, 3 stycznia. *Wiener Ztg.* ogłasza: Radcy sądu krajowego: Lubwik Krzyżanowski w Nowym Sączu, Bogumił Nowotny w Tarnowie i Karol Szurek w Wadowicach zostali przeniesieni do Krakowa,

Radcą sądu krajowego został mianowany zastępcą nadprokuratora w Krakowie Leonard Łukaszewski, sekretarz wyższego sądu krajowego w Krakowie, Franciszek Bodowski, radcą sądu dla Tarnowa, sędzia pow. w Wiśniczu Julian Wiśniowski, radcą sądu w Nowym Sączu, wreszcie sędzia pow. w Liszkach Apolinary Hankiewicz radcą sądu w Wadowicach.

Telegramy zbożowe dnia 2. stycznia.

Peszt pszenica wiosenna 8.11—13. *Berlin* spirytus 42·40, olej rzepakowy 51·30, *Paryż* mąka —·—. *Wiedeń* pszen. 8—8·50, spiryt. 27·25—50.

Wiedeński kurs urzędowy

dnia 3. stycznia 1885 r.

Renta pap. aust.	82·10	Akcje banku kr.	293·10
„ srebrna „	83·20	Weks. na Lond.	123·35
„ złota „	104·10	Dukaty	5·80
Losy z r. 1860	97·45	Napoleondory	9·75½
Ak. b. aus.-węg.	859·—	Marki niemiec.	60·25

Kurs giełdy wiedeńskiej.

godzina 1 minut 45 po południu.

Alpiny	44·—	Węg. akcje kr.	308·—
Anglo-austr.	92·25	Unionsbank	74·—
Kolej Kar. Lud.	267·50	Nordbahn	232·50
Kolej połud.	146·—	Kolej Alföld.	180·—
Kolej państw.	303·50	Kolej lw.-czern.	197·50
Węg. Nordostb.	170·50	Wied. Comunal	124·—
Węg. obl. p. zł.	105·50	Elbetal	177·50
Węg. cis. losy r.	117·10	Losy tureckie	21·25
Renta węg. 4%	95·97	Bankverein	101·50
Ros. rubel pap.	1·28¼	Losy węgierskie	116·—
Galic. indemn.	102·—	Marki niemiec.	—·—

Usposobienie: stałe.

Kurs pieniędzy i papierów publicznych.

Wiedeń 2. Stycznia.

	płacą	żądają
4²/₅% Renta papierowa austr. .	81 70	81 85
4²/₅% „ srebrna „ . .	82 75	82 90
4% „ złota „ . .	103 50	103 60
5% „ papierowa (marcowa)	96 65	96 85
4% „ złota węgierska . .	95 85	96 —
5% „ papier. węgierska .	90 35	90 50
4½% Ostbahnowe obligi . . .	97 —	97 50
5% Obligi pożyczki kolej. węgier.	— —	— —
3⁸/₁₀% Losy z r. 1854 po 250 m. k.	125 75	126 25
4% „ „ 1860 „ 500 złr.	134 60	135 20
4% „ „ 1860 „ 100 „	140 25	141 —
„ „ 1864 „ 100 „	170 50	171 —
„ „ 1864 „ 50 „	168 50	169 50
Losy Como-Renten za sztukę	45 —	47 —
Bukowińskie oblig. ind. 10% podat.	102 —	102 50
Galicyjskie „ „ „ „	100 75	101 25
Akcje bankowe.		
Anglo-austrjackiego Banku 120 złr.	95 50	96 —
Boden-Credit austrjacki . 80 „	217 —	218 —
Credit-Anst. dla han. i prz. 160 „	294 20	294 50
„ Bank węgierski . 200 „	307 —	307 50
Depositen-Bank . . . . 200 „	200 50	201 —
Escompt Gesell. niż. astr. 500 „	660 —	665 —
Länderbank . . . . . . 100 „	97 10	97 50
Austr.węg. Banku . . . 600 „	857 —	859 —
Unionbank . . . . . . 100 „	75 25	75 75
Verkehrsbank ogólny . . 140 „	144 50	145 —
Wied. Bankverein . . . 100 „	99 —	99 50
Akcje kolejowe.		
Albrechta . . . . 200 złr. bez%	60 —	62 —
Alföld-Fiume . . 200 „ 5%	179 50	180 —
Donau-Dampfs.-Ges. 525 „ „	528 —	531 —
Elżbiety . . . . 210 „ „	233 —	233 50
Linz-Budweis . . 200 „ „	205 —	205 50
Salzburg-Tyrol . . 200 „ „	195 25	195 75
Ferdynanda-Nordb. 1050 „ „	2307	2317
Franciszka Józefa . 200 „ „	207 —	207 50
Gal. Karola Ludwika 210 „ „	267 50	268 —
Koszycko-Oderberg 200 „ 4%	148 —	148 75
Lwowsko-Czer.Jaska 200 „ 5%	197 50	198 50
Nordwest austr. . . 200 „ „	171 50	172 —
„ Elbethal Lit.B. 200 „ „	177 75	178 25

	płacą	żądają
Rudolfa. . . . . 200 złr. 5%	181 25	181 75
Siedmiogrodzka I. . 200 „ „	179 50	180 —
Staats-Eisenb.Ges. . 200 „ „	307 50	307 75
Südbahn (Lombardy) 20 „ „	145 50	145 75
Theisbahn (Cisańska) 200 „	251 —	251 50
Węg. gal. Łupkow . 200 „	172 25	172 75
„ Nord-Ost . . 200 „ „	167 75	168 —
„ Westbahn . . 200 „ „	173 —	173 25
Listy zastawne.		
4½% Bod. Cred. allg. złotem płat.	122 —	122 50
4½% „ „ „ papier. 50 lat	97 50	97 70
3% prem. Bod. Credit. allg. . .	96 50	97 —
6% Zakł. kred. krakowsk. 18 lat	99 50	100 —
7% Listy dłużne „ 20 lat	99 60	100 10
6% Zakł. kred. krak. . . 36 lat	99 50	99 75
5½% „ „ „ srebr. 36 lat	— —	— —
4% Gal. Tow. kred. ziem.	91 40	92 —
5% „ „ „ „ nowe 37 lat	99 —	100 —
4% „ „ „ „ „ 41 lat	87 —	87 75
6% „ Bank hipot. lwowski . .	100 —	101 —
5% „ „ „ „ prem.	98 —	98 75
5% „ „ „ „ 40 lat	97 —	97 25
5% Bank austr. węg. (Nation.) w. a.	102 80	103 —
5% Szląs. aust. Bod.-Credit-Anstalt	99 75	100 25
5½% Węg. Instyt. Bod.-Credit .	100 75	— —
4% „ Bank Hip. prem. . .	100 50	101 —
Priorytety kolejowe.		
Albrechta . . . . . 300 złr. 5%	98 —	98 25
Alföld-Fiume . . . 200 „ „	99 50	100 —
„ „ Em. 1874 200 „ „	99 25	99 75
Donau-Dampfs. 100 200 „ 6%	108 50	109 50
Elżbiety za 200 Mrk. opod. . .	110 50	111 —
„ za 200 Mrk. nie opod. .	116 50	— —
Ferdyn. Nordb. m. kon. 4½%	105 40	106 —
„ Mor.-Szląz. linia 1871/2 5%	104 —	104 50
„ poż. 1876 r. 100 złr. 5%	105 —	— —
Franc. Józef Em. 1884 . 4½%	89 80	90 10
Gal.-Karol.-Lud. 1881 300 złr. „	98 90	99 80
„ Jarosław 300 „ „	97 75	98 25
Koszycko-Oderb. . . 200 „ 5%	99 70	100
4% Lwów-Czern. Em. 1884 (10% p.)	82 15	82 30
4% „ „ 1884 (wolne od p.)	86 15	86 30
Nordwestb. austr. . 200 złr. 5%	102 40	102 70
„ „ Lit. B. 200 „ „	101 90	102 30

	płacą	żądają
Nordwb. austr. Em. 1874 200 m. 5%	126 —	— —
Rudolfa z 1884 r. . 100 złr. „	86 —	86 20
„ Salzkam. gut. zł. 200 m. „	114 50	115 25
Siedmiogrodzkiej I . 200 złr. „	97 50	97 75
Staatseisenbahn . . 500 fr. 3%	189 75	— —
Südbahn (Lombardy) 500 fr. 3%	147 50	148 —
„ „ 200 złr. 5%	124 —	124 50
Theissb.-Gesell. . 1000 „ „	104 25	104 75
Węg. gal. Łupkow. . 200 „ „	99 30	99 80
„ „ II Em. 200 „ „	96 75	97 50
„ Nordost . . . 300 „ „	97 —	97 40
„ „ złotem . 200 „ „	121 75	122 —
„ Westbahn . . 200 „ „	— —	99 —
„ „ Em. 1874 200 „ „	— —	99 —
Losy.		
5% Donau Regul. . . złr. 100	114 —	114 50
Premiowe Wiedeńskie . „ 100	125 —	125 50
„ Węgierskie . „ 100	115 —	115 50
3% „ Tureckie . . fr. 400	21 25	21 50
Kredytowe . . . . . złr. 100	178 —	178 50
Clary . . . . „ 42	41 75	42 25
4% Donau-Dampfsch. „ 105	113 50	114 50
Insbrucku . . . . . . „ 20	19 50	20 —
Keglewicha . . . . . „ 10½	19 —	— —
Krakowskie . . . . . „ 20	18 50	19 —
Ofner (miasta Budy) . „ 40	42 25	43 —
Palfy . . . . „ 42	37 25	37 75
Rudolfa . . . . . . „ 10	18 —	18 50
Salma . . . . „ 42	56 50	57 —
Salzburgskie . . . . „ 20	22 75	23 25
St. Genois . . . . . „ 42	50 75	51 25
Stanisławowskie . . . „ 20	23 50	24 50
4½% Tryesteńskie . „ 105	130 —	131 50
4% „ . „ 50	68 —	— —
Waldsteina . . . . . „ 20	28 —	28 50
Windischgrätza . . . „ 20	36 —	36 50
Cisańskie	116 80	117 20
Czerw. krzyża	13 35	13 55
Węg. Czerw. Kryża	7 25	7 40
Serbskie	30 20	30 70
Warszawa 2. Stycznia.	rb. kp.	rb. kp.
5% Listy zastawne nowe 1869 r.	— —	95 25
kupon .	— —	— 9½
4% Listy likwidacyjne	— —	87 45
kupon .	— —	— 30

Papier z fabryki Braci Fiałkowskich & Twerdy w Bielsku i w Białej. Z drukarni K. Pillera.

Dodatek literacki do Nr. 3 „Przeglądu"

Przygoda pana Hilarego.

Skopiował z listu

ERES.

Kraków dnia . . . . . r. 188 . .

Kochana Antosiu!

Ani się spodziewasz, jaką przeszedłem trwogę. Ale porzuć obawy; nie trafiło mnie nic złego, chociaż, co prawda, była chwila, kiedy dusza „wlazła mi w pięty." Zaczynam *ab ovo*.

W Warszawie zabawiłem dzień jeden. Trafił mi się kupiec na wełnę i zboże; cenę ofiarował wprawdzie nie najlepszą, ale też i nie najgorszą. Pokryło się tem ratę w Towarzystwie ziemskiem i pozycje twej konotatki. Tutaj muszę zrobić ci jedną uwagę. Zawsze powiadam to samo: czasy ciężkie, a waszym konotatkom niema końca. Na co naprzykład ów „serwis karlsbadzki"? Nasze skromne porcelanowe nakrycie zrobi tę samą usługę, byleby uczciwie je napełnić. Nowy płaszczyk dla Sabini, zdaniem mojem także niepotrzebny. „Szak twój dałby się na niej przerobić... A cóż dopiero mam powiedzieć o kapeluszach? Formalnie uwzięłyście się na to, aby mnie zrujnować. Ale, że to człowiek przywykły już do ciężkiego jarzma małżeńskiego niechce mieć kwasów w domu, kupiłem więc wszystko, zapakowałem własną ręką i odesłałem przez najbliższą pocztę. Co do mojej osoby przyznać się mogę tylko do jednego wybryku: zjadłem z przyjaciółmi śniadanko. Nie będziesz mi go wymawiała, jak mam nadzieję, bo postarałem się i dla ciebie w zamian o nadliczbowy prezencik, który złożę u nóg twoich. Ale to bagatela; pamiętam coś większego, coś co wcale nie było wliczone w pierwotny program podróży. Posłuchaj, moja rybko cierpliwie i — nie gniewaj się. Uporządkowałem wszystko, pospłacałem należytości, złożyłem pare setek w depozyt, a jeszcze zostało mi się trochę grosiwa w kabzie. Pomyślałem sobie wtedy: jeździcie wy co zimy do Warszawy, mogę więc i ja zrobić sobie raz przyjemność. Nie długo debatowałem nad tem, w jaki sposób. Wiesz, że u nas duszne powietrze a ja tak tęsknię do wolnego oddechu! Kiedy więc poczułem, że w kieszeni nie pusto, a bez obrazy Bożej i krzywdy waszej mogę sobie brykuąć, odjechałem tegoż dnia jeszcze do dawnej siedziby królów, do Krakowa. Stanąłem naturalnie w hotelu Saskim, bo przecież człowiekowi nie wypada walać się po żydowskich hotelikach. Byłby to dysonans dla wszystkich koroniarzy w ogóle, a dla mnie w szczególe.

Raniuteńko wstawszy poszedłem do Panny Marji, aby się pomodlić za Was i za siebie. Wychodząc spotykam jak naumyślnie poczciwego Kiełkowskiego, o którym tyle razy Ci opowiadałem. Zabrał on mnie natychmiast do siebie na kawę, (bo wyszedłem na czczo), a pokrzepiwszy nadwątlone podróżą ciałko moje wyprowadził na miasto. Mój Boże! nie potrafiłbym opisać, co się we mnie działo. Gdzie postąpisz, spotykasz jakaś pamiątkę, a każda z nich zdaje się opowiadać o przeszłej wielkości narodu... Przytem cóż za rozkosz! — wolno bez żenady gadać, co ci ślina na język przyniesie, nie tak, jak... jak wtedy, gdy przed tobą stoję. Po drodze spotkaliśmy i innych dawnych kolegów ze sztuby. [illegible] zaprosiwszy ich na śniadanko. Wiesz, że w tym miejscu zaczynasz się powtórnie [illegible] i powtarzać swój stereotypowy zarzut: „Wiecznie te śniadania! Ale ostrożnie moja pani! Proszę pamiętać, że załatwiłem skrupulatnie wasze konotatki. Zresztą śniadanko było skromne choć uczciwe: wódeczka, kawior, ostrygi, marynata, węgrzyn a na zakończenie trzy buteleczki szampana — całkiem jak przystało na polskiego szlachcica! Bo, proszę ciebie, trzeba przecież było ratować honor Kongresówki, o której i tak powiadają, że spuściła nos na kwintę. Fałsz to wierutny, bo w tym kochanym Krakowie ani pojęcia nie mają o dobrem piciu. Od pogładu nasza wiara na siłach. Wszyscy sześciu zaproszonych, jak ich było ululali się, ale to, powiadam ci fatalnie! Poczciwy gospodarz [illegible] wsadził poczciwego do własnej sypialni, ja zaś wolałem przejść się po mieście. Choć prawdę mówiąc i mnie coś niby trochę szumiało we łbie. Idę więc na Grodzką, staję przed wystawą i patrzę na obrazki, aż tu jegomość jakiś zbliża się do mnie. „Spojrzałem na niego, on na mnie — brr! aż mnie mrowie przeszło. Bo żebyś ty widziała droga Antosiu, ten wzrok! Myślę: czego on chce odemnie? Chrząkam, — nie ustępuje, ja drugi raz chrząkam, a on jak stał, tak stoi. Coś się święci! — pomyślałem w duchu i, niedługo czekając: — smyk! w boczną ulicę. Kiedy uszedłem z jakie sto kroków, oglądam się i — co powiesz na to? — widzę za sobą tego samego jegomości. Powiadam ci, aż nie wytrzeźwiłem ze strachu! No, bo pomyśl tylko!... Było to przecież najwidoczniejsze ściganie, więc możesz sobie wyobrazić co się zemną działo! Byłem powiadam ci, bliski apopleksji! Kiedy rozważyłem w duszy, co mnie trafić może, kiedy widziałem już oczyma wyobraźni siebie w kazamatach cytadeli, a was opuszczonych, płaczących, pozbawionych kawałka chleba, — o, droga Antosiu, zdawało mi się wtedy, że już — już, lada chwila trupem padnę!... A w piętach aż mi paliło, takem umykał. Zmachawszy się dobrze, oglądam się... czy uwierzysz?... ten niecnota tuż za mną! Wyglądał na wcale poczciwego człowieka; ale wiem ja, że nie wszystko złoto, co świeci, a taki filut to umie sobie minę dowolnie nastroić. Na jego twarzy igrał osobliwszy uśmiech, a w oczach coś wyczytałem złowrogiego oznajmienie: „Nie ujdziesz swego losu!" Brr! pot śmiertelny wystąpił mi na czoło, nogi drżeć poczęły — w tem, nawija mi się dorożka. Więc ja szus! na siedzenie i szepczę furmanowi: „Jedź, co tchu starczy, zapłacę dobrze!" I sam wnet zaczynam: kto się w opiekę poda Panu swemu... a potem [illegible] dorożkarzowi do ucha: „Hotel Saski". Byłem pewny że już teraz umknę z zasadzki, a w duchu daliпаu ślubowałem, że nigdy nie wybiorę się na dalszą przejażdżkę bez twojej porady. Ale cóż! myślisz, że się wywinąłem? Gdzie tam! Ignotus w drugim fiakrze za mną goni. Jak bomba wypadam więc do hotelu i płacę fiakrowi banknot pięć rublowy i zamykam się w swoim numerze na dwa spusty. Po chwili — puk, puk! ktoś u drzwi czeka. — „Kto tam?" pytam, w odpowiedzi słyszę grzecznie:

— Proszę otworzyć!

Ho, ho! myślę, znam ja się na takich grzecznościach, ale że opór na niby się nie przydał, otwieram więc drzwi odmawiając w duchu „Pod twoją opiekę"...

Jakoż przeczucie nie zawiodło. Prześladowca stał przedemną i uśmiechając się w ten sam ironiczny sposób, począł szastać nogami. Prawie zębami dzwoniąc od strachu, czekałem, co dalej z tego wyniknie.

Zawiązała się teraz pomiędzy nami następująca rozmowa:

On: Czy długo pan tu zabawi?

Ja: Jakto?

On: Ośmielam się szanownego pana zapytać, czy długo pan tu zabawi?

Ja: Chciałem... to jest... ja właściwie przyjechałem — ot. tak... na dni parę... ale jeżeli pan każe — to ja zaraz pojadę — albo jeśli potrzeba, zabawię dłużej niż myślałem.

On: Więc jeżelibym poprosił pana dobrodzieja, zatrzymałbyś się?

Ja: Ależ z największą przyjemnością, chociaż rodzina moja... zresztą ja mam paszport... I zaczynam szukać w kieszeniach.

Tymczasem, wyobraź sobie, przybysz wybucha gwałtownym śmiechem, a ja niewiedząc, co to ma znaczyć staję osłupiały, jak Frynia na naszym moście...

A dopiero zgłupiałem do reszty, kiedy niegodziwiec powiedział: — Pan pozwoli, że mu się przedstawię, jestem malarz, Jan Paleta!

— A niechże Cię nie znam panie Janie krzyczę, rzucając mu się w objęcia, uwolniony tak niespodziewanie od wszelkich obaw.

— Więc pan nie jesteś ajentem?...

— Ajentem? — powtarza, malarz.

A ja na to:

Czyż godziło się nabawić mnie takiego strachu. Jakiż właściwie interes sprowadza pana do mnie.

— Prośba, — odbąknął trochę zmieszany..

— Ach! rozumiem! Pewnie jakiś obrazeczek sprzedaćby się chciało... Ach, panie Janie, ciężkie czasy... Wolę dać ci 10 rubli na rękę — a obrazek sobie schowaj.

Ale młodzieniec przy bliższem przypatrzeniu się wcale nieszpetny, odciął mi ostro...

— Jestem artystą, nie handełesem... Jeżeli przyszedłem do pana z prośbą, to nie zasługuję jeszcze na podobne upokorzenie. Posłuchaj pan cierpliwie: Rozpocząłem malować obraz przedstawiający Sobieskiego w chwili, gdy żegnając Marysieńkę wsiada na koń aby jechać pod Wiedeń. Cały obraz prawie gotów, ale oblicze króla czeka jeszcze na wykończenie. Pół roku prawie szukam modelu a nigdzie znaleść nie mogę. Ale oto szanowne pańskie oblicze jest najodpowiedniejsze. Prośba więc moja...

Nie dałem mu dokończyć. Tym razem przyszła na mnie kolej postawić się ostro.

— A cóż to pan sobie myśli? — przerwałem — Co? Ja mam dać się malować? Ani mój ojciec, ani mój dziad i pradziad nikomu za model nie służyli, więc też i ja nie myślę.

Dopieroż on w prośby i przepraszania: A niech mi pan daruje, nie myślę przecież obrażać...

— Co pan myślałeś — odburknąłem wpadając w passją coraz większą — to mnie mało obchodzi, wiedz pan jednak, że szlachcic polski nie od tego, żeby jakiemuś lakiernikowi służył za szablon

Sam czułem, żem trochę przesolił, bo juści Jan Paleta, to, panie, nie żaden lakiernik. Więc kiedy zaczął mi basować, że wyświadczę mu tem dobrodziejstwo, że powinno się sztukę popierać — że rodzina będzie miała miłą pamiątkę, a moja postać zostanie uwiecznioną — pogłaskało mnie to po sercu i gniew gdzieś znikł jak kamfora. Straciłem zaś całkiem na kontynansie po przybyciu Kiełkowskiego, który przywitawszy się z Paletą jak dobry znajomy i uwiadomiony przez niego o całem ujściu, wyciął mi reprymendę za głupie jakieś skrupuły. Musiałem ostatecznie kapitulować i przyrzec, że będę służył młodemu artyście za model. Bo uważasz, moja kochana Antosiu: nie jestto żadna infamja, a miło mi przecie będzie ujrzeć siebie w królewskich strojach na ładnym lanszafcie. Przytem dostanę gratis i fotografię, z obrazu i studjum zdjęte z mej głowy. A co to dopiero będzie, kiedy w Warszawie wystawią obraz i jaki — taki zapyta „Z kogo robił Paleta króla Jana? A na to odpowie mu krórykolwiek z moich znajomych: „Z pana Hilarego! Mocium panie!" Zobaczysz, stanę się sławnym człowiekiem...

Na zakończenie muszę dodać, że ponieważ tęskno mi już za tobą, przeto... zabieram Paletę, niech mnie maluje w Łukowicach. Każ dla niego wyporządzić gościnny pokój. Wszystko niech będzie w porządku, bo to mała z ma oko bystre.

No, tom się rozpisał! A te szkaradne gryzipiórki pletą, że szlachcic pióra nie umie wziąć do ręki!

Całuję Cię w oba oczka, moja Ty dobra Antosiu! Pa!

Twój Hilary.

SEN

ze stanowiska nowych zapatrywań nauki.

Kto żył lat sześćdziesiąt, ten przez lat 20 nie miał żadnej styczności ze światem zewnętrznym, albowiem człowiek poświęca średnio $1/3$ część życia na spanie. Zaiste — cząstka niemała. Nic więc dziwnego, że od czasów Arystotelesa miljony wielkich i mniejszych umysłów kusiło się o wykrycie przyczyny snu. W jego szrankach turniejowych ustawicznie kruszą kopje fizjologowie i psychologowie. Zarówno w jednym jak w drugim obozie słychać od czasu do czasu tryumfalne „heureka!", zawsze jednak okazuje się ono przedwczesnem, bo prędzej czy później wychodzi na jaw jakaś myłka, bądź to eksperymentalnej, bądź też logicznej natury. „Wynalazcy" kryją się natenczas znowu w cienie swych laboratorjów lub gabinetów. Tajemnicy snu dotąd nie rozwiązano, choć nie da się zaprzeczyć, że przedstawia się nam ona dzisiaj o wiele już więcej jaśniejszą. A i to już nabytkiem czy też postępem nazwać można. Bylibyśmy więc niewdzięczni, gdybyśmy chcieli lekceważyć energiczne usiłowania współczesnych uczonych, zmierzające do jej wykrycia. Uczeni ci pragną bowiem pytanie to uprościć i w braku rozwiązania naznaczyć mu przynajmniej krytyczne punkta.

Niektórzy twierdzą, że sen jest funkcją żywotną; ale żadna funkcja nie może się obejść bez odpowiedniego i właściwego jej organu. Należy przeto znaleźć organ snu. Owoż jeden z współczesnych fizjologów szukał go gorliwie i twierdzi, że już znalazł. Zdaniem jego podobnie jak oko jest organem wzroku, a ucho organem słuchu, tak organem snu jest nerw sympatyczny. Wielkie pytanie, czy odkrycie to można w istocie nazwać odkryciem, bo nerw sympatyczny znany już jest przecie anatomom od dawna; ale jeszcze większe pytanie, czy rzeczywiście spełniając tyle innych funkcyj, ma on jeszcze czas na to aby być organem snu. Chyba że sen jest właśnie objawem znużenia nerwu sympatycznego i powstaje wtedy, gdy nerw ten wypocząć potrzebuje — wniosek, z którego każdy fizjolog będzie się śmiał do rozpuku.

Ale idźmy dalej w las nauki. Niebawem napotkamy tam bowiem psychologów, którzy nam powiedzą, że sen jest objawem patologicznym. Każdy śpioch, a w Polsce ich legjony, gotów solenny założyć przeciw temu protest i ku wiecznej rzeczy pamiątce zapisać go w aktach grodzkich. Nie przestraszy to jednak dra Dobińskiego. Powie on nam, że nerwy wśród ciągłej pracy dochodzą w końcu do rozdrażnienia takiego, iż opadają zupełnie z sił i przestają pracować. Są jakby w omdleniu. To omdlenie jest snem.

Któryś z dowcipnych uczonych francuzkich, lubujący się w antytezach, wysunął wniosek odwrotny i powiedział, że sen jest stanem normalnym, a jawa — patologicznym. Bo we śnie nie ustają czynności głównych organów, tylko zstępują do możliwego minimum intensywności; zatem życie na jawie jest już rozdrażnieniem, ekscytacją, gorączką, pracą organów nad siłę, a przeto chorobą i nienormalnością. Ten sam uczony zaprzecza równocześnie istnieniu jakiejkolwiek różnicy między chorobą a zdrowiem, gdyż uważa oba stany za dwa odcienie jednego Wywód ów znalazł poklask... galerji.

Dotychczas przyjmowano za pewnik, że sen naturalny jest następstwem znużenia organów nerwowych (jak zmysły, ośrodki nerwowe i t. p.). Na czemże jednak polega różnica pomiędzy snem sztucznym a naturalnym? Mówi się o niej wiele w dziełach naukowych, a jednak dotąd jej nie wyświecono. Sen wywołany n. p. przez magnetyzera, nazywają sztucznym. Dla czego? Wszak medium usypia w skutek wsłuchiwania się w jednostajny tik-tak zegarka, lub wpatrywania się w błyszczący przedmiot, słowem wskutek znużenia zmysłów. Czyż nie to samo dzieje się z tobą czytelniku, gdy czytasz którą z gazet lwowskich i gdy ci na fotel opada głowa a mimowolnie zamykają się powieki po przeczytaniu pierwszej stronicy. Pytam teraz: jest-że to sen sztuczny, czy też naturalny? Dobrze zgłębiwszy to pytanie, przychodzi się do przekonania, że w tej całej hipotezie, rozróżniającej sny sztuczne od naturalnych, jest więcej walki o wyrazy niż o istotę rzeczy.

Bo naprzykład udawało się lekarzom wprawiać ludzi sztucznie w sen przez zabezpieczenie ich mózgu jedynie od silniejszych wrażeń. Sen odbywał się wśród objawów całkowicie prawidłowych, i tylko sposób, w jaki go wywołano, był sztuczny.

Wybornego w tej mierze przykładu dostarczyła przed kilku laty lipska klinika. Chodziło o dziesięcioletniego chłopczyka, którego skóra i błony śluzowe pozbawione były wszelkiego uczucia. Do tej anestezji dołączyła się wkrótce utrata smaku i powonienia, oślepnięcie lewego oka i ogłuszenie prawego ucha. Ponieważ pacjent odbierał tym sposobem wrażenia zewnętrzne jedynie przez prawe oko i lewe ucho, przeto łatwem było ochronić jego mózg zupełnie od wpływu zewnętrznego świata. Zatykano mu zdrowe ucho, przewiązywano opaską widzące oko i zostawiano w spokoju. Po takiej operacji następowało zwykle kilka głębokich oddechów, potem kilka ruchów zdziwienia i wreszcie niedłużej, jak w przeciągu trzech minut chłopak zasypiał. Doświadczenie to ponawiał Adolf Strümpell niezliczone razy, a zawsze z tym samym skutkiem. Również w zajmujący sposób budził go ze snu. Żadne, choćby najsilniejsze wstrząśnięcie, targanie za ręce i nogi nie mogło go przywołać do jawy; chłopak spał jak zabity, ale dość było szepnąć mu po cichu w zdrowe ucho, lub zdjąć z oka przepaskę, a budził się natychmiast. Kto zna sposób hipnotyzowania przez nastawienia oka na punkt błyszczący (a więc przez znużenie zmysłu wzrokowego), ten z owych lipskich doświadczeń będzie musiał przyjść do przekonania, że w naturze wprost przeciwne przyczyny są w stanie wywołać ten sam skutek. Praca natężona zmysłów jest tak samo w mocy wywołać sen, jak ich zupełne próżniactwo. Ale z doświadczeń tych jeszcze i ten wniosek wyprowadzić można, że sen nie jest następstwem znużenia ośrodków nerwowych, czyli — mówiąc popularnie — mózgu. Mimo to prof. Preyer utrzymuje, że sen bezpośrednio od mózgu zależy i stoi w prostym stosunku do jego czynności. Wszystkie śpiochy powinny temu profesorowi pomnik wystawić, bo według jego teorji upodobanie ich we śnie byłoby dowodem, że ogromnie na jawie pracują.

Według teorji Preyera praca mózgu zależy od ilości pochłoniętego tlenu, to jest tego gazu, którym oddychamy. Brak tlenu w mózgu sprowadza zatem sen. I w samej rzeczy człowiek usypia, gdy tlenu jest za mało w powietrzu, albo gdy mu podwiążą tętnicę szyjną. Na polu bitwy, wśród huku armat usypia także gdy jest ranny. Bo wskutek rany upłynęło krwi dużo, a właśnie krew wprowadza tlen do mózgu. Po krwiotoku zmniejszyła się jej ilość w ciele, mniej jej zatem dopływa do głowy, a więc i mniej tlenu mózg otrzymuje.

Ale teraz nasuwa się pytanie, dla czego ranny żołnierz przespawszy się parę godzin, budzi się rzeźwiejszym i silniejszym? Przecież zasób krwi był ten sam, więc mózg jego nie otrzymywał większej ilości tlenu podczas snu, niż byłby na jawie dostawał. Chyba że przypuścimy, iż podczas snu nie pracował, a zatem mógł pewien zapas tlenu odłożyć; tymczasem na jawie ciągle myśląc, a więc pracując, zużywałby wszystek tlen, jaki mu krew dostarczyłaby; albo też, że podczas snu krew obficiej przypływa do mózgu, aniżeli na jawie i przeto więcej tlenu przynosi ze sobą.

Przeciw temu przeczą jednak doświadczenia, dokonane przez Nasse'go i Valentin'a. Odsłaniali oni mózg zwierząt pogrążonych w śnie zimowym; zwierzątka spały dalej, a w mózgu ich nie zauważono rozszerzenia naczyń krwionośnych, któreby koniecznie musiało nastąpić, gdyby podczas snu przypływała krew w większej ilości do mózgu. Ponieważ więc podczas snu nie otrzymuje mózg większej ilości tlenu, przeto wnosić wypada, że zużywa go mniej niż na jawie i robi sobie z niego zapasik na czarną godzinę życia.

Szeregiem licznych doświadczeń udowodnionem zostało, że wytężająca praca wytwarza w muszkułach pewne substancje, posiadające wysoką zdolność łączenia się z tlenem. Berzelius odkrył jak wiadomo kwas mięsny w muszkułach szczwanego dzika; a Liebig wykazał, że w ogóle mięso dziczyzny zawiera w sobie więcej kreatyny aniżeli mięso swojskich zwierząt. Inni fizjologowie, jak n. p. Reineke, udowodnili, że spracowane muszkuły wytwarzają kwas mleczny i że człowiek zażywa o wiele więcej tlenu podczas pracy aniżeli w stanie wypoczynku.

Odkrycia te wziął Preyer w rachubę i opierając się na nich, rozumował w ten sposób: — Jeżeli jest faktem, że mięśnie podczas pracy wytwarzają pewne substancje, mające wysoką zdolność do łączenia się z tlenem, to możemy przypuścić, że i w mózgu podczas pracy umysłowej tworzą się jakieś materje organiczne, łapczywie tlen pochłaniające. W takim razie materje owe zabierać muszą wszystek ten tlen, jaki krew do mózgu przynosi i zabierają go zapewne tak doszczętnie, że dla mózgu nic już nie pozostaje. Pozbawiony tlenu, przestaje mózg pracować, a w skutek tego cały organizm traci siły i w sen wpada.

Owoż podnieść wypada, że fakta potwierdzają do pewnego stopnia rozumowanie Preyera. Praca fizyczna jest i była zawsze najlepszym sposobem do wywołania mocnego snu. Słynny pływak, kapitan Webb, który puścił się wpław przez kanał La Manche, zaledwie dobił do przeciwległego brzegu, padł na ziemię i spał z rzędu 30 godzin. „Szybkobiegacze" po cyrkowych swych popisach sypiają zwykle po godzin 18 — 20. Gromadzi się bowiem w ich organizmie tyle tych substancyj, które Preyer „Ermüdungsstoffe" nazywa, iż w końcu pochłaniają one wszystek tlen, jaki krew w sobie zawiera; mózg zostaje wskutek tego ogołocony z tlenu, przeto usypia, a z nim i cały organizm.

Substancje te zdołał Preyer wydobyć z żywych zwierząt i zakonserwować w bańkach szklannych. Kiedy potem kroplę takiej substancji, będącej produktem znużenia, wstrzyknął do tętnicy królika, chrupiącego sobie spokojnie kapustę, to zwierzątko wyciągało łapki i zasypiało natychmiast. Po pewnym czasie budziło się i tak samo jak wprzódy zabierało się łapczywie do kapusty.

Nie radzilibyśmy jednak bezwzględnie wierzyć w prawdę tych Preyerowskich doświadczeń. Człowiek tak snadno widzi to, co widzieć pragnie. A Preyerowi tak jakoś udawały się te wszystkie doświadczenia, że naprawdę budzą podejrzenie, zwłaszcza, że L. Meyer w Berlinie próbował tych eksperymentów i ani razu nie mógł osiągnąć pożądanego skutku. Preyer mu na to odpisał, że sobie wstrzykiwał do tętnicy zwierzęce produkta znużenia i usypiał natychmiast; ofiarowywał się więc to samo Meyerowi zrobić. Ten jednak uchylił grzecznie ale stanowczo tę tak nieapetytną propozycję.

W każdym razie Preyerowskie badania miały to dobrego, że zwróciły na sprawę snu uwagę uczonego świata. We wszystkich fizjologicznych gabinetach zaczęto badać sen i zebrano już dzisiaj dość obfity materjał.

W gronie praskich lekarzy poruszył ją niedawno dr. Goschler i na podstawie swych doświadczeń wyłuszczył przed nimi zupełnie nową hypotezę własnego pomysłu. Jako założenie, z którego wychodzi, przytacza znany wszystkim patologom fakt, że wydzieliny i wypociny wywołują osłabienie pewnych części mózgu, które znika natychmiast po usunięciu przyczyny. Prawdopodobnie więc i sen, jako właśnie objaw takiego osłabienia funkcyj zmysłowych, świadomości, inteligencji i zdolności do ruchu jest następstwem przypływu rozmaitych cieczy organicznych do jamy mózgowej. Ciecze te wywierają oczywiście nacisk na mózg i paraliżują go w jego funkcjach. Skoro zaś odpłyną, nacisk ustanie, a mózg wróci do normalnego stanu. Pytanie teraz: jakież to są ciecze? W pierwszym rzędzie, powiada dr. Goschler, jest to wszem znany *liquor cerebro-spinalis*—krążący pomiędzy mózgiem i kanałem pacierzowym.

Czytelnik nam wybaczy, że nie pójdziemy trop w trop za dr. Goschlerem i nie będziemy opisywali tych przyczyn anatomicznych i fizjologicznych, które zdaniem jego wywołują przypływ owej cieczy cerebro-spinalnej do mózgu. Wystarczy nam to wiedzieć że ona w pewnych porach przypływa, mózg uciska i każe nam kłaść się do łóżka. Sen wywołuje odpływ cieczy i powrót mózgu do normalnego stanu.

To nam daje do myślenia, że autorowie pozytywnych powieści powinni już stanowczo zarzucić dawną poetyczną formułkę o rzucaniu się w objęcia Morfeusza i kazać swym bohaterom, idącym na spoczynek, trzymać się albo teorji Preyera i wtedy mówić: „Organizm mój wytworzył tyle produktów znużenia, że muszę je utlenić," albo Goschlerowskiej teorji i w takim razie przemawiać do bohaterki w te słowa: „Obywatelko równouprawniona! Czuję, że ciecz cerebrospinalna napływa mi do mózgowia; samozachowawczy popęd nakazuje mi tedy urządzić dla niej odpływ. Inaczej moja inteligencja stłoczona pod jej naciskiem, niższą będzie od Twojej, co obraża demokratyczną zasadę równości. Przeto odchodzę!"

Ale wróćmy do dr. Goschlera. Da się on bowiem porwać różowym nadziejom i począł dowodzić, że jego wyjaśnienia wytłumaczą zarazem wszystkie objawy znane fizjologowi pod nazwiskiem narkozy, upojenia, omdlenia, somnambulizmu i hipnotyzmu.

Tymczasem, ściśle biorąc, nie wytłumaczył nam wcale snu, a wykrył tylko w najlepszym razie jeden z jego akcesorjów. Nie wyjaśnił więc np. i tego, dlaczego podczas snu zwalnia się puls i oddech? Niejeden z was czuje się jeszcze na kwandrans przed spoczynkiem całkiem rzeźki, a jednak położywszy się do łóżka, zasypia natychmiast.

Zkądże ta nagła zmiana? Czy przypuszcza może dr. Goschler, że ów przypływ cieczy cerebro-spinalnej wywołuje także znużenie muszkułów piersi i serca i jest przyczyną upośledzonego ich działania podczas snu? Czy może sądzi, że to upośledzone ich działanie jest wypoczynkiem mającym na celu odnowienie zużytej siły? Pominąwszy już, że nikomu dotąd na myśl nie przyszło, aby organa ruchów mimowolnych podlegały znużeniu, musimy jeszcze powątpiewać, czyli nieznaczna różnica istniejąca pomiędzy ich działalnością we śnie, a działalnością na jawie, jest dostatecznym wypoczynkiem dla tak nieustannie np. czynnego organu, jakim jest serce. Co się zaś tyczy oddechu to przecież jest on równie silnym we śnie, jak i na jawie.

Gdybyśmy jednak nawet i te zaruty usunęli, to pozostaje nam jeszcze pytanie, gdzie tkwi przyczyna przebudzenia się i powrotu szybszej pulsacyi serca? Jeżeli który organ po chwilowem omdleniu wraca do dawnej energii pod wpływem drażnienia i zimnych lub ciepłych okładów, to fakt ten umiemy sobie snadno wytłumaczyć. Zkądże jednak nastaje po ośmiu godzinach snu tak nagłe ożywienie funkcyj, i dlaczego sen przemija, nieznaglony do ucieczki żadnym zewnętrznym bodźcem?

Ciecz cerebrospinalna tłumaczy nam tylko przytłumienie czynności mózgu; najważniejszych jednak objawów przed snem i po śnie teorja Goschlera wyjaśnić nam nie może.

Według niej powinien człowiek chory na wodną puchlinę w mózgu zostawać w stanie nieprzerwanego snu, a jednak dzieje się jak wiadomo inaczej.

Wyprowadźmy tedy ogólny wniosek. Liczne próby wytłumaczenia snu za pomocą funkcyj mechanicznych oddały przysługę fizjologii, ale psychologia nie odniosła z nich dotąd żadnego pożytku, zwłaszcza w dziedzinie snu. Z chwilą gdy ostatnia furtka zmysłów zamknie przystęp wszelkim wpływom zewnętrznym, wywiązuje się wewnątrz proces zupełnie odmiennej natury. Podczas czuwania zmniejszają czynność intellektualną mechaniczne ruchy ciała, natomiast we śnie przybiera siła wyobraźni takie rozmiary, że funkcye ciała prawie znikają. Ten świat wewnętrzny stanowi sam dla siebie odrębne państwo; fizjologia staje w obec jego zagadek bezsilna, chociaż się kusi o ich rozwiązanie, a psychologia czuje, iż dotąd zanadto mało zbadała człowieka, aby się nawet kusić mogła.

ŚWIĘCENIE NIEDZIELI.

(Wspomnienie z Ameryki.)*

Obok wspomnienia pierwszego mego debiutu w Nowym Yorku, najwięcej utkwiła mi w pamięci, z czasu kilkoletniego pobytu zdala od ojczyzny, wrzawa dziennikarska na temat święcenia niedzieli. Wiadomo iż ustawy amerykańskie zabraniają wszelkich widowisk w niedziele. Wyjątek stanowią tak zwane „sacred concerts", na których wykonywane bywają utwory w duchu religijnym i poważne oratorja. Ba! ale ustawę powyższą umieją przedsiębiorcy nader zręcznie obchodzić, co im się w bardzo wielu miastach udaje.

---

*) Powyższy szkic napisany przez p. Hank, śpiewaczkę berlińskiej nadwornej opery, pomieszczony jest w zbiorze wspomnień najgłośniejszych niemieckich artystów, wydanym w r. 1881 przez Józefa Lewińskiego, głośnego tragika w Wiedniu.

I nasz sprytny dyrektor Mapleson zapowiedział w Nowym Yorku koncert swej trupy na niedzielę. Kontraktem byłam wprawdzie zobowiązaną do współudziału w koncertach, ale dowiedziałam się również, iż inna ustawa amerykańska zabrania surowo zniewalać kogokolwiekbądź w niedzielę do jakiejkolwiek pracy. Z naszym atoli dyrektorem sprawa nie była zbyt łatwą. Rządy jego były surowe i autokratyczne w tem małem państewku, złożonem z oddziału artystów. Opozycji nie znosił i nikt też nie odważał się oponować jego rozkazom.

Uczyniłam więc krok bohaterski. Uwiadomiłam go, że nie będę śpiewała w koncertach niedzielnych, albowiem pragnę mieć przynajmniej jeden dzień w tygodniu wytchnienia. Dyrektor uwiadomienie moje przyjął do wiadomości, mimo to kazał na czele afisza niedzielnego wydrukować moje nazwisko. Cóż było robić? Publiczność zgromadziła się tłumnie i rozkupiła wszystkie bilety, mimo cen wygórowanych. Nie chciałam czynić zawodu memu chlebodawcy i tym sposobem spiewałam w dwóch koncertach niedzielnych.

Jednakowoż na parę dni przed trzecim koncertem oświadczyłam ustnie dyrektorowi, i dla formalności powtórzyłam to samo pisemnie, iż stanowczo odmawiam udziału w koncercie, a zarazem okazałam mu niezadowolenie z całego jego postępowania.

Znałam tak doskonale naszego władcę, iż nie zdziwiło mię w cale, gdy pomimo mego oświadczenia afisz niedzielny znowu ogłosił moje nazwisko. Na dalsze moje protesta odpowiadał Mapleson milczeniem. Bilety rozsprzedano jeszcze zrana — wieczór już się zbliżał. Wachałam się długo, czy pójść do teatru i odśpiewać zapowiedziane arje czy też pozostać w domu. Przyjaciele dodawali siły do oporu i zapewniali, że w razie jakiegoś zajścia cała wina spadnie na dyrektora.

— Nietylko — mówili — nie będzie miał prawa przymusić pani, lecz nawet skazanym być może na grzywny za przekroczenie naszej ustawy.

Zapewnienia te jednak nie wystarczały mi i czułam się coraz więcej niespokojną, im bardziej zbliżała się godzina koncertu. Z uderzeniem jej byłabym może pobiegła na estradę w zwykłej domowej toalecie, gdyby goscie moi gwałtem prawie mnie nie zatrzymali.

W godzinę niespełna po rozpoczęciu koncertu wpada do mego mieszkania dyrektor zadyszany. Uciekłam do pokoju bocznego i zamknęłam drzwi na klucz. Długo stał pod drzwiami; prosił, błagał, zaklinał, groził, nakłaniał, wreszcie widząc, iż wszystko napróżno odszedł. Nocy tej oka zamknąć nie mogłam, i robiłam sobie gorzkie wyrzuty, za następstwa mego postąpienia.

Nazajutrz doniesiono mi, iż publiczność z początku zachowywała się spokojnie, później jednak energicznie poczęła się domagać mego wystąpienia. Wreszcie na galerji zerwała się burza, która spotęgowała się tem więcej, gdy Mapleson wyszedłszy przed rampę ogłosił publiczności, iż ja z nieznanych mu powodów dotychczas nie przybyłam.

Pisk, wrzask, hałas zapełniły cały amfiteatr, a gdy to nic nie pomogło, większa część publiczności opuściła teatr i zażądała z kasy zwrotu pieniędzy za bilety. Awantura ta wygnała Maplesonowi dwa tysiące dolarów z kieszeni.

Obawiałam się bardzo, aby gniew publiczności, nieznającej prawdziwej przyczyny tego zajścia nie zwrócił się przeciw mnie. Rozesłałam tedy wieczorem listy do kilku większych dzienników w celu zażegnania burzy. Z drżeniem i gorączką nerwową wzięłam nazajutrz poranne dziennki do ręki. Lecz jakież przyjemne zdziwienie!

Wszystkie niemal stanęły w mojej obronie i napadły siarczyście na Maplesona, który bronił się, odpowiadał, powoływał się na kontrakt ze mną zawarty i w końcu nałożył na mnie konwencjonalną karę w sumie pięciu tysięcy franków.

O wszystkiem tem dowiedziałam się dopiero z dzienników, które ze sprawy mojej zrobiły *une cause célèbre*, piętnując dyrektera i oskarżającego o zamach na święcenie niedzieli. Przez cały tydzień każdy dziennik przynosił codziennie szpaltowe artykuły na ten temat.

W końcu i mnie się powiodło wyjaśnić stanowisko moje, a Mapleson zmuszony był kapitulować.

W liście otwartym przyznał mi słuszność, zniósł nałożoną karę i uwolnił na zawsze od współudziału w niedzielnych kocertach.

Sprawa powyższa nabrała zasadniczego znaczenia nie tylko dla samych artystów.

Niebawem posypały się do mnie listy dziękczynne od mnóstwo osób, zwłaszcza ot artystów ale najwięcej od duchownych różnych wyznań. Ci bowiem od dawna już zgorszeni byli pogwałceniem święta, nic atoli u władz wykołatać nie mogli, skoro sami artyści godzili się na żądanie przedsiębiorców.

Salon mój zapełnił się kwiatami, wieńcami, ja zaś w ciągu całego pobytu w Ameryce uchodziłam jako orędowniczka naruszonej ustawy, odbierając zewsząd hołdy za odniesione zwycięstwo. —

Na posiedzeniu u spirytystów.

Londyn 19. grudnia.

Przybyłem do Londynu w poniedziałek, a więc w dzień, w którym życie i ruch, wstrzymane i stłumione chwilowo podczas niedzieli, przerywa tamy i bije tem silniejszą falą. Trudno wyobrazić sobie ten ruch i chaos, jaki panuje w dniu tym na główniejszych ulicach Londynu. Trzeba tam wpaść, ażeby pojąć cały bezmiar tego życia, w którem człowiek czuje się atomem — niczem. Doszedłszy do Traphalyes-square wstrzymałem się zamyślony, przyglądając się w milczeniu temu rwącemu potokowi, który się przed memi oczyma roztaczał...

Z zamyślenia tego wyprowadził mnie nadspodziewanie pewien dawno niewidziany znajomy z Warszawy, który przyjacielsko uderzył mnie po ramieniu. Drgnąłem i obejrzałem się nagle. Uściskaliśmy się serdecznie, jakby dwaj rozbitki, wyrzuceni na nieznaną wyspe, i za chwilę znaleźliśmy się w jednej z pobliskich restauracji, przy butelce niezłego wina opowiadaliśmy sobie niedawno przebyte koleje i pierwsze wrażenia pobytu w Londynie. Przyjaciel mój bawił już od kilku tygodni w stolicy Anglii, częścią dla interesu, częścią dla ciekawości — mógł być wiec dla mnie *ciceronem*, przed paru bowiem dniami przybyłem dopiero do stolicy starego Albionu, kryjącej w swem wnętrzu ni mniej ni więcej, tylko cztery miliony mieszkańców.

Gdyśmy już zakomunikowali sobie najbliższe wiadomości o sobie, o krewnych i znajomych, gdy wreszcie wyczerpana została nie zbyt jednak obfita, z mojej przynajmniej strony, skarbnica wrażeń z nieznanej dotąd stolicy — zapytałem przyjaciela mojego, jak zamyśla przepędzić wieczór dzisiejszy.

— Idę na posiedzenie do spirytystów, brzmiała krótka odpowiedź.

Aż podskoczyłem na miejscu z zaciekawienia i nie zwlekając długo zapytałem go, czy mogę mu towarzyszyć.

— Ale i owszem, odpowiedział mi bez wachania. Przystęp tam wcale nie trudny. Zapłacisz 5 szylingów i będziesz miał te same prawa, co ja.

— Tak! — odrzekłem zdziwiony — więc to tak prosta historja. Sądziłem, że potrzeba do tego jakichś specjalnych względów i zaprosin.

— Ależ bynajmniej. W Londynie więcej jest spirytystycznych kółek i posiedzeń, niż gdzieindziej teatrów i café-chantant'ów. Zapłacisz, i wszystkie tajemnice duchów staną przed tobą otworem...

Nie mogłem oczywiście pominąć tak wybornej sposobności, poznania się przy pomocy mego przyjaciela, z duchami. Daliśmy sobie *rendez-vous* około godz. 7. wieczorem w jednej ze znanych kawiarni; tymczasem zaś pożegnaliśmy się i wyszli. Mój cicerone miał jakiś pilny interes do załatwienia.

O godz. 7. znalazłem się na umówionem stanowisku. Siedliśmy do najbliższej dorożki, która pomknęła niebawem, gdy mój przyjaciel wymienił nazwę ulicy, gdzie miało się odbyć posiedzenie spirytystów. Mijaliśmy szybko brudne i ruchliwe ulice i wkrótce znaleźliśmy się w dzielnicy daleko spokojniejszej. Niezbyt wysokie domy stały po obu stronach ulicy; ruch był także niewielki.

Za chwilę dorożka zatrzymała się przed niewielką piętrową kamienicą, którą przyjaciel mój wskazał mi, jako mieszkanie duchów.

Weszliśmy. W salonie gościnnym, gdzie nam polecono zatrzymać się, spotkaliśmy już kilka osób, zajętych, w oczekiwaniu posiedzenia, oglądaniem różnych spirytystycznych preparatów, wystawionych w oszklonej szafie.

Medium zaczęło wreszcie przyjmować gości. Przyszła wreszcie i na mnie kolej. Wszedłem przez drzwi przez które inni wchodzili i znalazłem się po za grubą kotarą w gabinecie, pogrążonym w zupełnym prawie półcieniu. Medium spoczywało niedbale w fotelu. Było ono brunetem w latach już dość podeszłych z twarzą inteligentną i przenikliwemi oczami, z których pewna chytrość przebijała.

Pośrednik duchów wskazał mi przedewszystkiem stojącą obok skarbonę, dając do zrozumienia, ażebym wrzucił tam 5 szylingów co też niezwłocznie uczyniłem

— Kto pan jesteś? — spytało mnie uroczyście medium, mierząc swym wzrokiem badawczym.

Obcesowe to pytanie zmieszało mnie i nim zdołałem odpowiedzieć, medium powtórzyło swe pytanie.

— Jestem Polakiem — odpowiedziałem z pewnym odcieniem niecierpliwości.

— Czy jesteś pan chrześcianinem, muzułmaninem, buddystą — ciągnęło dalej medium, jakby nie zważało na moją odpowiedź.

— Jestem chrześcianinem — odrzekłem.

— Wierzysz pan w nieśmiertelność duszy?

Nie czekając tym razem na odpowiedź, mówiło medium dalej. Mowa jego z początku powolna i rozwlekła, ożywiała się coraz bardziej. Mówiło z przejęciem się, gorąco, z patosem... Zacząwszy od braminów i buddyzmu, przeszło następnie do spirytystycznych teorji Allan — Cardeca i Jacolliota.

Nie poznawałem tego człowieka. Przed chwilą miałem przed sobą zwykłego zdaje się szarlatana. Teraz zmienił się on w natchnionego kaznodzieję.

Siedziałem wsłuchując się w sympatyczny głos i patrząc w ożywioną i inteligentną twarz spirytysty... Byłem nawpół pozyskany dla spirytyzmu. Wymowa medium, odzywające się z dala tony jakiejś melodji, dziwna jakaś upajająca woń w pokoju i piękny obraz Horacego Verneta, wyobrażający umierającą dziewicę, u łoża której klęczy narzeczony, a ona wskazuje mu niebo — zrobiły swoje. Wpadłem w stan jakiegoś upojenia, zemdlałem prawie.

Gdy się ocuciłem, medium już się gdzieś zgubiło. Zostałem zaproszony do sąsiedniej sali, gdzie rozpoczęło się posiedzenie spirytystów. Publiczność siedziała w około. W środku stał prosty stół drewniany, za którem siedziało medium.

Po upływie dziesięciu minut dały się słyszeć jakieś miękkie, głuche, ledwo słyszane odgłosy, podobne do uderzeń kul na bilardzie. Gdy urywany ten i miarowy stukot stawał się wyraźniejszym medium zakrywszy twarz rękami, poczęło zadawać pytania. Pytało w sposób ogólnikowy.

Odpowiedzi otrzymywano w ten sposób, że mówiono kolejno wszystkie litery alfabetu, zapisywano zaś te, na których przychodziło stuknięcie. Formowały się z tego wyrazy i frazesy. Treść odpowiedzi na pytania zadawane przez medium, była ogólnikowa. Następnie pozwolono i nam zadawać pytania. Gdy przyszła kolej na mnie — spytałem wprost o moje imię i nazwisko. Jakież było moje zdziwienie, gdy „duch“ z największą dokładnością wypukał dziwnie dla Anglików brzmiące nazwisko. Byłem zdumiony i poruszony. Zapytałem bezzwłocznie siedzącego obok mnie przyjaciela, czy nie powiedział komu przypadkiem mego nazwiska które było tam nikomu nieznane. Zapewnił mnie jednak że nie myślał nawet o tem. Gubiłem się w domysłach i zaczynałem wierzyć...

Gdy skończyło się owe pukanie, zgaszono światło i rozpoczął się inny rodzaj spirytystycznych cudów. Medium podawało nam po kolei karteczki, prosząc o napisanie na nich pytania, duch zaś miał pisać odpowiedzi. Karteczki podawane w ciemności medium kładło do grubej księgi, poczem słychać było skrzyp pióra i odpowiedź była gotowa. Gdy przyszła na mnie kolej napisałem dwa pytania: ile mam lat? i czy medium oszukuje nas? — Duch w odpowiedź na pierwsze odpisał mi, że dwa razy ducha pytać nie można, na drugie zaś odpisał jedno tylko słowo — głupstwo.

Rezultat nie zbyt zadziwiający. Myśląc nad tem, w jaki jednak sposób napisane zostały i te niewinne odpowiedzi zwróciłem uwagę na księgę, w którą medium kładło nasze karteczki. W zamieszaniu, przy wyjściu, udało mi się udrzeć kawałek papieru z tej tajemniczej księgi. Gdy powróciłem do domu — zagasiłem lampę, zasłoniłem okno i spojrzałem na papier — świecił nasiąknięty widocznie jakimś roztworem fosforycznym. Tajemnica odczytywanych po ciemku pytań i pisanych natychmiast odpowiedzi była wyjaśnioną.

Pozostawała jeszcze kwestja mego nazwiska. Zastanawiając się nad tem bliżej rozwiązałem i tę zagadkę. Gdy odurzony konferowałem z medjum wyciągnął on mi zręcznie jeden z trzech biletów wizytowych, który miałem przy sobie. Brakło go właśnie. Tajemnicę spirytyzmu — poznałem dokładnie.

X. Z.

Słówko o wegetarjanach.

Paryż i Londyn są siedliskiem towarzystw wegetarjańskich, które propagują swe zasady za pomocą książek, pisemek ulotnych i czasopism perjodycznych. W Londynie znajdują się nawet restauracje, gdzie tylko wegetarjanie jadają. Nie wiele jednak miewają one stołowników, ceny bowiem tak są wygórowane, że wegetarjańska kuchnia dostępną jest tylko dla bardzo zamożnych osób. Nie należy ztąd wszakże wnioskować, żeby w ogóle potrawy roślinne, sporządzone podług reguły wegetarjańskiej, droższe były od mięsnych. Sprostowanie tego dość rozpowszechnionego przysądu wziął za cel swych rozpraw, członek paryzkiego stowarzyszenia wegetarjanów, niejaki Tanneguy de Wogan. Z licznych jego broszur jedna zasługuje na uwagę. W jego „*Le moyen de vivre bien avec dix sous par jour*“ znajdujemy sposób sporządzania dość smacznych, wedle jego zdania, obiadów bardzo tanim kosztem. Do potraw, które on zaleca, wchodzą prawie wyłącznie: żyto, pszenica, kukurydza, ziemniaki, ryż, soczewica i w ogóle owoce strączkowe, cebula, ser, jaja, cukier i sól. Mleko, ser i masło nie mają właściwie przystępu do kuchni ściśle wegetarjańskich; jednakże mniej surowi wegetarjanie zezwalają na to ustępstwo, ażeby neofitów nie odstraszać. Natomiast ortodoksi wegetarjanizmu zrzekają się tych przypraw i podniebieniom swym każą się zadawalniać najprostszemi potrawami, jak łemieszką kukurudzianą, polewką z soczewicy, syropem itp. a obiad na jednę osobę złożony z takich potraw kosztuje tygodniowo franka. Mięso, — pisze de Wogan — zawiera 70 — 80 % brudnej wody, podczas gdy soczewica ma jej, i to czystej, zaledwie 9—10 %. Wyłuszczone ziarna roślin strączkowych zaleca *Societé Végétarienne* jak najgoręcej, a takie same pochwały oddaje ono makaronowi.

Cóż może być smaczniejszego, woła de Wogan, — nad makaron, sałatę i owoce? — Silny mężczyzna, nie potrzebuje dla utrzymania sił swoich nic więcej nad kartofle, maślankę — i jedyny nieszkodliwy trunek: wodę, filtrowaną deszczówkę... Sałata nie daje wprawdzie wiele pożywienia, ale orzeźwia; z pośród zaś owoców najpożywniejszemi są jabłka, zawierające stosunkowo najmniej wody. ...Do strawienia obiadu wegetarjańskiego potrzeba zaledwie trzech godzin, podczas gdy potrawy mięsne potrzebują 6—7 godziu. Dalej Tanneguy stara się nawet wykazać, że wszystkie choroby tak trapiące ludzkość są przeważnie następstwem żywienia się mięsem. Pokarm mięsny sprzeciwia się według niego wskazówkom natury; człowiek bowiem poci się, a zjawisko to spotykamy tylko u zwierząt trawojadnych nigdy zaś u mięsożernych. Podobną wskazówką jest także obfita ślina, którą mięsożerne zwierzęta posiadają tylko w małej ilości.

Na zakończenie robi Tanneguy słuszną uwagę, że dziś wszyscy jesteśmy bardzo rozrzutni, ale fakt ten tłumaczy dość oryginalnie. Oto — jesteśmy rozrzutni, bo jemy mięso! Aby to udowodnić zestawił on następującą tabelę:

Jeżeli, dajmy na to, mięsny obiad kosztuje miesięcznie 163 franków, to tak samo pożywny obiad z ryb będzie kosztował 55 franków, z różnych roślin, przyprawionych na mleku — 22 franków, z różnych mącznych potraw 20 franków, a z grochu 15 franhów.

Byłby to niezawodnie ważny argument, ale człowiek, niestety, jest ułomną istotą i nie zadowalnia się samym tylko grochem, jeżeli stać go na coś lepszego i smacznego jak mięso. Cały wegetarjanizm nie wzniesie się prawdopodobnie nigdy po nad sferę utopii, bo uderza w najdrażliwszą stronę ludzkości, w gastronomję, około której, jak około osi, obraca się cała nasza działalność. — Szukamy przyjemności; a największemi są te, które przez żołądek, w ogóle bardzo wybredny, przechodzą do naszego umysłu.

Z Wołynia.

Nieraz dziwne, a smutne zawsze są dzieje naszych starych miasteczek. Mimowolnie łza się w oku zakręci, gdy patrząc na którekolkiek z nich, dziś pełne niechlujnego żydowstwa, myślą w dalekie wybiegnie się czasy i w wyobraźni odtworzy się ich minioną bez śladu świetność, znaczenie cywilizacyjne, historyczną wielkość... Zdaje się wtedy wiedzowi, że rozpalonemi kluszczami wyrywają nam ciała kawałki...

Oto przed nami jak na dłoni leży starożytny Korosteń, dzisiejszy Iskorość w pow. Owruckim. Są o nim historyczne wzmianki, sięgające IX. wieku, a wówczas był stolicą Drewlanów. Dziś to poleska mieścina, zamieszkana przeważnie przez żydów, należy do rodziny Lubowidzkich, są jednak ślady, że w XIV wieku Olgierd nadał tę majętność ziemianinowi tutejszemu Terechowi, który się też z Korostenia pisać zaczął. Zygmunt III dopiero nadał jego potomkom herb Korsak, i prawo miejskie dla tej posiadłości z obowiązkiem obwarowania jej od napadów tatarskich. Lecz daleko dawniej Koresteń a dzisiejszy Iskoroć, będąc stolicą Drewlanów zawojowany był w 883 roku, przez Olega, opiekuna Igora Rurykowicza. Ślady jego obozu pokazują dotąd, w sąsiedniej wiosce nazwanej Szatryszcze, a wiadomo, że Szatro to namiot w dawnym języku ruskim. Na zbuntowanych Drewlanów musiał pójść powtórnie Igor w r. 945. lecz poległ w bitwie stanowczej, a mogiłę jego lud dotąd pokazuje na gruntach wsi Niemirówki Mszcząc śmierć męża, kniachini Olga dwa razy wymordowała posłów drewlańskich, wysłanych do Kijowa, a w następnym 947 roku poszła na Korosteń z wojskiem, lecz warownego miasta zdobyć nie mogła. Wtedy, jak mówi legenda, kazała do ogonów nałapanych gołębi i wróbli przywiązać palące się lonty i tak puściła ptacto, które, wróciwszy do strzech swoich, całe miasło zapaliło naraz. A zdobywszy je wówczas, Olga wszystkich mieszkańców w pień wyciąć kazała i stolicę Drewlanów do Owrucza przeniosła.

Drugim niemniej starożytnym miastem jest Ostróg, o którym pierwszą wzmiankę spotykamy pod 1100 rokiem, gdy się dostał w dziale Dawidowi, synowi Igora. Odtąd przez 200 lat z okładem przechodził on ciągle z rąk do rąk, bo były to czasy strasznie niespokojne. Kniaziowie ruscy z domu Ruryka, żyjąc w ciągłej niezgodzie, wzajemnie siebie najeżdżali i warowne odbierali grody. Dopiero Kazimierz W., podbiwszy Ruś południową, zmusił ich do pewnej uległości względem Polski, i ograniczył ich dzielnice. W owej to opoce powstali Kniaziowie na Ostrogu, a pierwszym z nich był Daniel Wasylewicz, a synowi zaś jego Fedorowi Danilewiczowi, i prawym jego potomkom nadał Władysław Jagiełło, w r. 1386, zamek z przyległościami pod warunkiem wiernej służby zbrojnej, dla króla i korony Polskiej, co też królowa Jadwiga w Krakowie r. 1393, potwierdziła. Wedle Gwagnina, kniaziowie Ostrogscy pochodzą od tego kniazia Romana Halickiego, który poległ w pamiętnej bitwie przeciw Tatarom pod Zawichostem w r. 1205.

Dzielny ten ród dał niejednego bohatera Polsce a choć nie tu miejsce na szczegółową monografię tego wielkiego domu; lecz pobieżnie wspomniemy o Konstantynie, hetmanie litew. i kasztelanie wileńskim, zmarłym w r. 1533., który 33 wstępnych bitew wygrał i okrył się sławą; następnie o synu jego, Eliaszu ojcu głośnej w dziejach naszych księżniczki Halszki, porwanej w r. 1553. z zamku ostrogskiego przez Dymitra księcia Sanguszkę, starostę Czerkawskiego; i w końcu o drugim synie Konstantynie Bazylim wojewodzie kijowskim, którego intratę obliczono na milion dwakroć sto tysięcy, co wynosi na dzisiejszą monetę, wedle tabeli Czackiego, z górą dwanaście miljonów. Marszałkował u niego zwykle jeden z górnych wojewodów, który pobierał 70.000 złp. rocznego jurgieltu za to, że dwa razy do roku przy nim stawał. Za niego też wystawa na dworze Ostrogskim była ogromna, zastosowana do nadzwyczajnych książęcych dostatków; asystujących paniąt czyli dworzan, było przy nim do dwóch tysięcy. On najwięcej przyczynił się do upiększenia miasta wspaniałemi budynkami, rozszerzył i obmurował tutejszy zamek warowny, z którego dziś pozostało ledwo parę baszt. Ten książe wojewoda, wyznawca kościoła wschodniego, gorąco sprzeciwiał się Unii z Rzymem. Uczonemu Erazmowi Smotryckiemu powierzył zarząd szkoły, którą założył wraz z drukarnią i gorąco mu polecił wydanie pierwszej kompletnej biblii w narzeczu słowiańskiem. Biblię tę tak przez lud ruski pożądaną, i stanowiącą dziś bibliograficzną rzadkość, wytłoczył w r. 1581 w Ostrogu Iwan Fiedorowicz, który z Moskwy schronił się na dwór książęcy, i którego niedawno obchodzono 300-letnią rocznicę zgonu. Następnie drukarnię przeniesiono do sąsiedniego klasztoru Dermańskiego. Syn ks. Konstantyna Bazylego, Janusz kasztelan krakowski, ostatni swego rodu, który umierając zostawił oprócz klejnotów i drogich sprzętów, 500.000 dukatów w dotowiźnie — przeszedł na łono kościoła katolickiego i za zezwoleniem stanów rzeczypospolitej ustanowił w r. 1609. ową sławną ordynację ostrogską, której ustawy w r. 1618 zaprzysiągł przed trybunałem lubelskim. W testamencie zawarował, że w razie zejścia swego z tego świata bez męzkiego potomka, ordynacja ma przejść na starszego z książąt zasławskich, zrodzonych z jego własnej córki — po ich wygaśnięciu na książąt Radziwiłłów, zrodzonych z siostry fundatora; a goyby i ta linia wymarła, wszystkie ogromne dobra ordynackie podzielone być mają na kilka komandorji, i ma takowe objąć zakon maltański.

(Dok. na t.)

Notatki literackie.

— Wiara Słowian, *ich byt domowy i społeczny przed i po podboju lechickim waregoruskim, przez Romualda Świerzbińskiego, kand. pr., dr. med. W 4-e, str. 111. Warszawa, nakładem autora. 1884.*

Autor dał się poznać w piśmiennictwie wydanym przed dwoma laty poematem: „Uroczysko dziewicze“, napisanym wierszem białym. Dzieło niniejsze w wewnętrznym związku zostaje z owym poematem, bo obydwa są owocem studyów dawnej Słowiańszczyzny i tylko w odmiennej formie usiłują wystawić świat moralny, społeczny, obyczajowy pierwotnych Słowian. Nie jest to pospolita u nas dyletancka robota: widać prawdziwe zamiłowanie przedmiotu i znajomość źródeł. Ile zaś pożytku przyniesie nauce, ile rzuca światła na na odległą przeszłość w pomroce czasów historycznych, i czy w ogóle rzuca takie światło, czy posuwa o krok dalej badania starożytności słowiańskich, o tem trudno nam tu sądzić. Pewnem jest to, że uważny i *cierpliwy* czytelnik książki p. S. wyniesie z niej cokolwiek wątpliwości. Może się dowiedzieć, że z tego, co mówiono dotąd o starożytności słowiańskiej, wiele podlega zarzutowi; ale, co ma o tem trzymać, napewno się nie dowie. Oto przykład: Zaczyna p S. od kontrowersyi zdania wywodzącego Słowian od Aryów (Aryasów). Tego nie dowiódł, bo nawet i założenia jasno nie postawił; niewiadomo, czy zaprzeczeć chciał w ogóle pochodzeniu aryjskiemu Słowian (czy są więc pochodzenia semickiego albo turańskiego?), czy, co zapewne prawdopodobniejsze, chciał tylko powiedzieć, że *narodu aryjskiego* nie było. Dzisiejsze pojęcie „narodu“ istotnie nie przystaje do tych odległych czasów; można też powiedzieć, że i narodu „słowiańskiego“ niebyło, podobnie jak nie mamy żadnego śladu języka wspólnego wszystkim Słowianom, a język „staro-słowiański“ jest tylko najdawniejszym ze wszystkich znanych języków pochodzenia słowiańskiego. Kontrowersya to zresztą scholastyczna. Czy byli „Aryasi“, czy nie, podrzędną jest rzeczą, skoro w języku, zwyczajach, urzadzeniach i t. d. pewnej liczby narodów wykazują się pewne wspólne cechy, które pozwalają uogólnić je owem wspólnem mianem. Autor często wspomina o „podboju lechickim“, sam tytuł rozprawy wnosić każe, że Lechitów, podobnie jak Waregów (Russów) za przybyszów, więc obcych, nie Słowian uważa. Tymczasem w § 26 utrzymuje, że Lechici byli to Słowiani, jakkolwiek dowody, które przytacza o urządzeniu *drużyn* lechickich, o hetmaństwie, do innego wniosku skłaniają. Na str. 6 czytamy: „gdyby wszystkie źródła“ były zaginęły, to usta ludu ruskiego (p. S. przytacza ustęp z pieśni, jakoby śpiewanej za czasów Chmielnickiego — „ne damo Lachom w Polsze panowaty“) nauczyłyby dziejopisa: iż Polaków i ich polską ziemię zawojowali lachowie... “Więc to Słowianie ?!

„*Wiara Słowian*“ wymaga, jak powiedzieliśmy, od czytelnika pewnej cierpliwości, nie z powodu przedmiotu, który może niejednego interesować, nie z powodu stylu, który nie jest ciężkim, jak to się zdarza erudytom, chociaż pod względem języka grzeszy używaniem pewnych wyrazów w znaczeniu ogółowi niezrozumiałem, ztąd wyrażenia takie, jak np. „ogień ziemski jest gadem“! (str.9). Ale zawiłość wywodów autora „*Wiary Słowian*“, częste przejścia do materyi nieznajdującej się w wyraźnym związku z tem, co poprzedza, niezgodność (może tylko pozorna) dowodzenia z założeniem: wszystko to utrudnia korzystanie z tej książki, która w każdym razie zasługuje na szczegółowy rozbiór jakiego specjalisty etnologii słowiańskiej.

— Wydawnictwa gwiazdkowe dla dzieci w tym roku mniej obficie się posypały; katalogi i ogłoszenia księgarskie mało zapowiadają nowowości a gorliwie wymieniają dawniejsze, widać niewyczerpane dotąd edycye. Nic dziwnego; zastój ogólny odbił się w pierwszej linii na księgarstwie; książka, dziennik, druk, niestety — zawsze u nas uważane są jeszcze za pewien rodzaj pożytecznego zbytku, od którego najczęściej, choć najniesłuszniej, rozpoczyna się oszczędność.

Nawet przed ostrygami i szampanem zwykło się wyrzekać już nie łakoci, ale zwyczajnego chleba dla pożywienia umysłu, pod pozorem, że ciężkie czasy i głowy czem innem zajęte.

Ktoby tam czytał, kiedy i bez czytania żyć można, trawić dobrze, sypiać smacznie, a nawet lepiej i dłużej... grywać w preferansa.

Za wielkim światem idzie mały światek: czemu się tu dziwić, że jeśli starsi stronią od książki i czytania, dzieciom książka i druk również nie pachną.

Z tego, co mamy pod ręką w tej chwili widać, iż wydawcy nasi nawet sobie zbyt wiele trudu w tym roku nie robili nad zebraniem i wyborem nowości; tylko ważniejsze firmy, dla honoru domu, dorzuciły kilka książeczek do dawniejszych nakładów.

W pierwszym rzędzie, jak zwykle stanęła księgarnia Gebethnera i Wolffa, a przy pomocy tak doświadczonej i zasłużonej w literaturze pedagogicznej literatki, jak p. Marya Zaleska, dała nam trzy książkowe nowości, p. t. „Mieszkaniec puszczy“, rzecz opracowana według amerykańskich powieści F. Cooper'a, tłómaczenie z Mayne Reid'a „Doliny bez wyjścia“, i trzech powiastek naśladowanych z angielskiego p. t. „Z pałaców i chat“. Wszystko to dla dorastającej młodzieży, starannie wydane, dobrze i zajmująco napisane, ładnemi ilustracyami ozdobione — tylko kupować i czytać.

Takiego „Mieszkańca puszczy„ nawet starsi z przyjemnością mogą przerzucić, jeśli nie chcą wracać do świetnych, a tyle swego czasu popularnych opowiadań Caoper'a o „Ostatnim Mohikanie“, albo „Stepach“. P. Czesławowi Jankowskiemu, młodemu rysownikowi, który dorabiał ilustracye do tego, można powinszować postępu.

Prześliczne wydanie dzieł Cooper'a z rysunkami Androlliego wychodzi obecnie w Paryżu po francusku, ale na takie chyba wnuki nasze jeszcze się nie zdobędą.

Kto czytał choć jedną powieść kapitana Mayne-Rei'a, temu niepotrzeba zalecać „Doliny bez wyjścia“, o tych przygodach podróżników w górach Himalaja trzeba to samo powiedzieć, co o innych, że są niejako kursem historji naturalnej w formie powieści, i przedstawiają faunę i florę azyjatycką najwyższych gór na kuli ziemskiej.

Rzecz wiele zajmująca dla młodych umysłów i pouczająca.

Trzy powieści naśladowane przez p. Zaleską (Tajemnica starego dworu — Pamiętnki wujaszka. — Bohater.) przedstawiają na tle obyczajowym — szkoda tylko że obcego społeczeństwa, — temata beletrystyczne z u uwzględnieniem moralnej dążności; przeznaczone są dla dorastającej młodzieży, a imie autorki jest dostateczną rękojmią wyboru i opracowania.

Wielka szkoda, że obecnie brak nam talentów oryginalnych w tym rodzaju, iż nie mamy ani takiego polskiego Coopera, Mayne Reid'a lub Gerstäckera, którzyby dla dziatwy naszej opisywali stepy ukraińskie, góry Karpackie, puszcze litewskie, umieli zająć wyobraźnię, kształcić umysł i na swojskim gruncie, swojską strawą karmić młode głowy i serca.

Cała prawie nasza dzisiejsza literatura dziecięca i dla młodocianego wieku, jest przeflancowana, mniej lub więcej zręczną i powołaną ręką; zawsze ten obcy, cudzy materyał, owinięty tylko w swojską formę językową i to często nienajlepszą.

Niestety, — talentów, a zwłaszcza w tym rodzaju piśmiennictwa, zasiewać i hodować sztucznie nie można; czekajmy aż się zjawią nowi Jachowicze, Hoffmanowie, Anczyce, Chęcińscy, Jeskowie i t. p.

Z ozdobnych wydawnictw dla mniejszej dziatwy, którą okiem trzeba wpierw zająć, obrazkiem zwabić do czytania i zachęcić do książki. Mamy również nakładem Gebethnera i Wolffa „Teatrzyk obrazkowy, „Dziecięcy świat pośród lasów, pól i chat“ i „Przygody dziatwy w domu i szkole“.

„Teatrzyk“ jest zabawką, dobrą w pomyśle, mogącą zająć wyobraźnię dziecka; za otwarciem książki, karty układają się w kulisy i dekoracje, tworząc małą scenkę, zapełnioną figurami z bajek o „Czerwonej czapeczce“, „Kocie w bucikach“, „Uśpionej księżniczce“ i Robinzonie“. Tematy wprawdzie obce, ale korzystano z cudzego pomysłu skoro swoich nie stało; szkoda tylko, że objaśnienia drukowane zbyt mało powiadają niedorosłym widzom i w sposób niebardzo zajmujący.

„Dziecięcy świat„ ma głównie zewnętrzną wartość ilustracyjną i jest rodzajem malowanego zwierzyńca, który pani M. Zielińska wierszykami objaśniła, poprzestając tylko na zrymowaniu przedstawionych na obrazku figur, choćby słówko nauki, morału, albo uwagi pobudzającej młode główki do myślenia, byłoby dodało wartości tej ładnej na oko książeczce.

Wybornie zrozumiała swoje zadanie p. Marya Ciświcka, opisując wierszem „Przygody dziatwy w domu i szkole“ do przepysznych kolorowanych rysunków Eugeniusza Klimsza.

Ilustrator studjował widocznie światek dziecięcy, umiał pochwycić jego charakterystyczne cechy, wdziek i naiwność, a obdarzony smakiem artystycznym, spożytkował zebrany materyał w sposób, który nawet starszemu czytelnikowi przyjemne musi zrobić wrażenie. P. Ciświcka zaś w bardzo gładkich wierszykach podała objaśnienia rysunków, bacząc na pedagogiczną stronę książki i z tego względu nader trafnie połączyła *dulce cutilum*.

Na ostatku winniśmy z uznaniem wspomnieć o zbiorku moralnych powiastek p. Józefy Kamockiej p. t. „W imię prawdy i dobra“. Autorka najzupełniej usprawiedliwiła ten tytuł w szeregu dwudziestu czterech obrazków, które, „ukochanym dzieciom“ na gwiazdkę ofiarowała, i z macierzyńskiem uczuciem skreśliła w nich „naukę życia“.

Rodzice i ich dziatki wdzięczni będą autorce za tę pracę.

Książkę ilustrował ze smakiem p. Czesław Jankowski, rysownik zdolny, tylko dziecięcym twarzom nadaje wyraz zbyt dojrzały, skutkiem czego ten mały światek pod jego ołówkiem wydaje się jak świat dorosłych, widziany przez szkło pomniejszające.